Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem.

Nr. 52 (555). WARSZAWA, 28 grudnia 1929 r. ROK XXII.



ŁOWIEC POLSKI

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

KONTO P. K. O. „Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich" 8082.
ADRES: NOWY-ŚWIAT 35. TELEFON 7-98.

Pismo tygodniowe. Wychodzi w każdą sobotę.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 8; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. — Miesięcznie 3 zł. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; ½ — 150 zł.; ¼ — 75 zł.; ⅛ — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. — **Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. Agentom niewolno pobierać zaliczek.**

W numerach ozdobnych: za tekstem milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; ½ — 225 zł.; ¼ — 115 zł.; ⅛ — 60 zł. Przed tekstem 50% drożej. — **Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. Agentom niewolno pobierać zaliczek.**



Deliberacje po miocie. Fot. Stefan Plater.

ROK 1886.

Dokończenie. (Zob. Nr. 50).

Na drugi dzień wyjazd w tym samym porządku.

Mijamy wioski zasypane śniegiem, gdzie zwykle starszyzna wita księcia chlebem i solą; przemykamy się przez grobelki, laski i pola zaśnieżone. Przejeżdżamy obok cmentarzy z lasem krzyżów, często bez najmniejszego krzaczka, smutnych i strasznych, jak sama śmierć. Mijamy samotną w polu karczmę z oknami, pozatykanemi słomą i łachmanami; zdaje się, że żywej istoty niema, a jednak jakiś rudobrody nędzarz, żyd, wyszczerza ślepia przez jedyną całą szybę; mijamy pagórki i mostki tak zwaną drogą zimową, prowadzącą wprost przez zamarzłe jeziorka i strumyki, i dojeżdżamy do rozległej wsi Ostrowczyc, stanowiącej wrota Polesia.

Tu zmiana pejzażu i ekwipażów. Opuszczamy wszyscy wygodne sanie zamkowe, a zajmujemy miejsca w chłopskich saniach pełnych siana i zaprzęgniętych w jednego konika z owemi tak charakterystycznemi hołoblami. Każdy gość i myśliwy ma do swej dyspozycji sanki, więc i ja wybrałem sobie swego „Hrehora", ulokowuję się jaknajwygodniej i w mig za innymi, wyciągniętym kłusem, pomykam przez zaśnieżone równiny ku ciemnej linji lasów, widnych na horyzoncie.

Ta kawalkada będzie niezrównanym tematem do najpierwszego obrazu. Tej malowniczości linji, charakterystyce koni, sanek, ludzi powożących i jadących, trudno się oprzeć. Jakkolwiek koniarzem nie byłem, czuję, że w części tu zostanę. Obserwuję i studjuję te zacne stworzenia, które francuz Tissor w podróży po Polsce i Rosji tak opisuje: „Il y'a une espèce des cheveaux qui s'appele konia". Małe, pękate wskutek żywienia sianem i słomą. Obrośnięte długą szerścią zbitą w kudły, zaledwo przypominają konia. Oszronione lub nie, zasypane nieraz po pas w śniegu, w lesie lub przed karczmą najczęściej bez okrycia lub najwyżej przykryte dziurawą płachtą, znoszą z dziwną wytrwałością wszelkie przeciwności aury i losu. Dziwną sympatję żywię dla tych zacnych zwierząt, a moich modeli przez długie lata.

Nareszcie docieramy do lasów i do ostępu, gdzie natykamy się na tabory sanek myśliwskich i wielką ilość naganiaczy, prawdziwych już poleszuków, grzejących się przy niezliczonych ogniskach.

Już jest dobrze z południa, więc bez straty czasu, każą dążyć do ostępu na stanowiska. Tu jestem włączony już do ściślej świty myśliwskiej księcia W. Pruskiego, którą stanowią: strzelec, czyli leibjäger, p. Abłamowicz i ja.

Książę Wilhelm Pruski stoi na tropie niedźwiedzia; na lewo, o jakie 80 kroków, stoi książę Antoni

Radziwiłł, na prawo w tej samej odległości książę Maciej Radziwiłł.

Nim dano znać, aby naganka ruszyła, książę W. Pruski zapytuje mnie, gdzie odbywałem studja? Na odpowiedź „in München" zrobił ogromne oczy i zaraz rozpoczęła się cicha rozmowa, w której uderzył mnie swoją artystyczną obserwacją otaczającego nas świata. Naraz w głębinach lasu ozwały się trąby i strzały dla wystraszenia niedźwiedzia, a na stanowiskach cisza i wyczekiwanie; wtem na prawo ze stanowiska księcia Macieja R. pada strzał i po niejakim czasie objawiają nam otrąbieniem „niedźwiedź zabity", że polowanie skończone.

Na tę wiadomość zdziwienie przebiegło po twarzy księcia W. Pruskiego, jak również p. Abłamowicza, dyrygującego polowaniem, lecz na powtórzony sygnał „niedźwiedź zabity" schodzimy wszyscy ze stanowisk, dążąc do miejsca, gdzie zabity niedźwiedź leży. W drodze podbiegam do księcia Macieja R., ciekawy przebiegu, gdy książę Maciej, czując obecnie dopiero niewłaściwość swego strzału, ociągając się, mówi do mnie: „Wiesz co, krew radziwiłłowska zagrała i nie wytrzymałem".

Niedźwiedź byłby bowiem napewno wyszedł na księcia W. Pruskiego, gdyby książę Maciej R. nie był położył go celnym strzałem. Przybywszy, zastajemy księcia Antoniego R. i księcia W. Pruskiego, oglądających niedźwiadka, który na szczęście, jest mały, marny, przeto książę Maciej R. mówi, nie tracąc fantazji: „Mon Seigneur les petits ours sont pour moi, les grandes sont pour Votre Altesse".

Oświadczeniem tem książę Maciej poprawił trochę sytuację, gdy pokazało się, że rzeczywiście niedźwiadek był lichy; wartość jego w tej chwili wszyscy jeszcze obniżają, twierdząc nawet, że nie wart był tego zachodu. Wskutek tego oblicza gospodarza i księcia W. Pruskiego trochę się rozpogodziły, tembardziej, że łowczy Dominik zapowiada kilka wielkich, wspaniałych niedźwiedzi białoszyjków.

Polowanie na dziś skończone, wsiadamy więc do sanek, i jazda na noc do Deniskowicz, głównej kwatery na cały czas pobytu i polowania księcia Wilhelma Pruskiego.

DENISKOWICZE.

Przed paru godzinami po raz pierwszy usłyszałem nazwę Deniskowicz, które wnet obejrzę własnemi oczyma, nie przypuszczając nawet, że skromna wioska, wśród błot poleskich, tak złączy się z moją karjerą, a przedewszystkiem z moją sztuką. Po pogodnym i słonecznym prawie do utraty wzroku dniu, po krwawym zachodzie, o szarym a mroźnym zmroku, wyruszamy z ostępu, pomykając szybko ku owym Deniskowiczom. Wężowatymi ruchami przewija się ów sznur sanek, to w prawo — to w lewo, a zawsze wyciągniętym kłusem, z szelestem mroźnego i sypkiego śniegu, parskaniem koników, które, im bliżej wsi, tem szybszem tempem biegną, przechodząc w końcu w galopka.

Wpadamy w śnieżną równinę ograniczoną wokoło siną, wąziutką linją ledwo widzialnych lasów, z widoczną w pośrodku wsią z cerkwią i zabudowaniami dworu, który oświetlonemi oknami służy, jak morska latarnia, za drogowskaz.

Po długiej i trochę już męczącej zimnem i monotonnością podróży, zajechanie naraz do przystani, z której przegląda wielkopański dobrobyt i gościnność, napełniło wszystkich uczuciem zadowolenia. Krzątająca się i uprzejma służba zaprasza i wprowadza do rozświetlonego, drewnianego dworu, a ciepło i nawet wiejąca woń kuchenna, w tej chwili jest sympatycznie odczuta.

Czuję, że w tym drewnianym dworze będzie nam wszystkim rozkosznie i że stąd wywiozę wiele miłych wspomnień. Przeczucie mnie nie omyliło.

Obiad „en regle" według wszelkich praw kulinarnych z dodatkiem pewnych, w Rosji używanych form zakąski i potraw, jak zakąska z kawioru i ryb wędzonych, Książę Maciej Radziwiłł chcąc niejako zatrzeć przykre wrażenie nierozważnego strzału do niedźwiadka, prześcignął odrazu wszystkich opowiadaniem zabawnych historyj o księciu Leonie Radziwille, poprzednim ordynacie Nieświeża, o różnych wypadkach na polowaniach na niedźwiedzia i t. p. Dziś głównym tematem — polowania na niedźwiedzie. Podziwiam talent naratorski księcia Macieja Radziwiłła, ku któremu, wyznaję szczerze, kieruję wzrokiem swoją wdzięczność, gdyż jemu w pierwszej linji zawdzięczam, że tu się znajduję. Opowiadania księcia Macieja R. o księciu Leonie Radziwille tyle mają charakteru i prawdy, że wszyscy słuchają z zainteresowaniem i siedzieliby nie wiem jak długo, gdyby gospodarz nie przypomniał, że jutro taki a taki porządek dnia i polowania i że wielki niedźwiedź leży otropiony o 13 wiorst, więc podróż czeka dłuższa. Życząc zatem wzajemnie sobie dobrej nocy, wszyscy podążyli do swoich apartamentów, a ja z p. Michałem Abłamowiczem do naszej oddzielnej kwatery.

Nasza kwatera to pałac pachciarza, żyda, który swe osobiste mieszkanie odstąpił panu pełnomocnemu i jego towarzyszowi po odpowiedniem udekorowaniu i umeblowaniu.

W kwaterze rzuciłem się na łóżko z chaosem w głowie, widzianych dotychczas scen, słyszanych opowiadań i przeżytych chwil. Wszak od 48 godzin, od czasu wyjazdu z Warszawy jest to jeden nierozerwalny łańcuch wrażeń i wrażeń. Jak to wszystko wysnuwało się jedno z drugiego, jaki szczęśliwy zbieg okoliczności i warunków wytworzył mi tę obecną chwilę. Zastanawiam się nad tem i konstatuję, że ani nadzieja honorów, ani też korzyści materjalne nie kierowały moimi krokami. Jak zawsze, i teraz, nie było i niema wyrachowania w moich poczynaniach, ale fantazją artystyczną, szczerem swojem postępowaniem i prostą swoją sztuką zdobyłem sobie tę niezwykłą sytuację dającą mi tyle szczęścia i zadowolenia. Leżąc na łóżku, chciałbym z radości krzyczeć w niebogłosy z oglądania Nieświeża, Polesia i puszcz poleskich, ujrzenia własnemi oczyma mateczników, przyjrzenia się tym, na cały świat sławnym łowom Radziwiłłowskim, przypatrzenia się barłogom niedźwiedzim i spojrzenia w oczy żywym królom puszcz i niedźwiednikom. Cieszę się z poznania tylu przyjaznych mi osób, cieszę się, iż pierwszy krok jest tak pomyślny, gdyż czuję, że nikomu tu nie jestem obcy, począwszy od gospodarza, jego wysokiego gościa

i towarzyszy, jak Abłamowicza, który jest już moim zdeklarowanym przyjacielem, a skończywszy na leśniczych, noszących nazwiska niecodzienne, jak Ancutów, Sudźbojów. Przez drzwi otwarte oglądam, jak pan pełnomocny konferuje z leśniczymi, myśliwymi i najstarszym łowczym Dominikiem. Jakkolwiek już dość późna godzina, p. Abłamowicz, na którego głowie spoczywa, oprócz przyjęcia gości, całe polowanie; omawia z leśniczymi i łowczymi do najmniejszych szczegółów jutrzejsze łowy i krytykuje dzisiejsze. Widzę, że to nie zabawka dla służby myśliwskiej polowanie na niedźwiedzie. Pomimo późnej pory i strasznego 20-stopniowego mrozu, który zamurował okna i odrzwia lodem, leśniczowie i całe myślistwo po pokrzepieniu się, jeszcze dzisiaj w nocy wyruszą w pobliże ostępu, w którym niedźwiedź leży. Jakiego to hartu i jakiej tężyzny ludzi potrzeba, aby tę ciężką służbę spełnić. Jak wyżej powiedziałem, polowanie na niedźwiedzia u księcia Radziwiłła to wielkie święto, więc wszyscy z pogodnemi twarzami i męską rezygnacją oddalają się okutani w futra.

razy „dobrej nocy", usnąłem, śniąc, jak w raju, a to było tylko na Polesiu...

Z pierwszym brzaskiem dnia niezwykły ruch w naszej kwaterze każe się domyślać, że się jest przed jakiemś niezwykłem polowaniem. Jeszcze p. pełnomocny w łóżku, a tu jakiś wysłannik z ostępu, szronem i lodem pokryty, zdaje relację o stanie naganki, pogody i zmienionym programie polowania postanowionym przez pana łowczego Dominika znajdującego się w ostępie. Łowczy Dominik to postać niecodzienna. Towarzysz łowów na niedźwiedzia, księcia Leona Radziwiłła, z którym, jak twierdzi, około300 niedźwiedzi przez życie upolowali. Autorytet na polowaniu na niedźwiedzie, z którym i p. Abłamowicz liczyć się musi, i specjalista ustawienia i skombinowania pędzenia niedźwiedzia tak, aby zgóry przeznaczony myśliwy go zabił. Obecnie dla księcia Wilhelma Pruskiego niedźwiedzie są przeznaczone.

Otóż p. łowczy Dominik donosi, że niedźwiedź w ostatnich dniach zmienił barłog, ale nie wyszedł z ostępu. Uprasza o możliwie szybkie przybycie my-



Dojechali do miotu. Fot. Stefan Plater.

śliwych, albowiem niedźwiedź, raz poruszony, może obecnie wskutek ruchu ludzi i obławy, wynieść się zupełnie z ostępu.

Po odbytej jeszcze konferencji z kucharzem Onufrym, niecodzienną postacią, i towarzyszem księcia Leona Radziwiłła w wojnie Sabastopolskiej, przy szklance herbaty, którą tu od świtu do późnej nocy popijają, zwraca się do mnie p. Abłamowicz i słowami niewymownie serdecznemi, oświadcza mi swoją przyjaźń i radość, że z nim dzielę kwaterę nietylko dziś, ale na czas wszystkich polowań, widząc we mnie godnego towarzysza i artystę.

Pomimo zmęczenia i coraz późniejszej godziny, sen jakoś nie przybywał, gdy p. Abłamowicz, widząc we mnie wdzięcznego słuchacza, już w łóżku leżąc opowiada o polowaniach na wabia na łosie w jesieni, na głuszce na tokach na wiosnę, na słonki, cietrzewie, jarząbki, nie mówiąc już dzikach, wilkach i rysiach, i kończy słowami... „No panie Juljanie, drogę do Polesia już znasz, przyjedź tylko na wiosnę, a zobaczysz".

Oszołomiony i rozmarzony tem, co widziałem i co słyszałem i co ujrzę jeszcze, powtarzając po kilka

P. Abłamowicz zawiadamia o tem księcia ordynata i wyjazd następuje natychmiast.

Jazda do ostępu wyciągniętym kłusem i sanki bez dzwonków. Przebywamy lasy i laski, pola i trzęsawiska nawet obecnie niezmarznięte, i dostajemy się do ostępu otoczonego wokoło ludźmi, czyli tak zwaną tu czertą, i palącemi się ogniskami. Po wymianie zaledwie kilku słów po cichu, bez najmniejszej straty czasu, łowczy Dominik prowadzi nas na stanowiska. W głębokim śniegu omijając straszne zwały drzew i wykroty, posuwamy się w ciszy i w niezwykle poważnym nastroju. Całe towarzystwo jakby nieme, kroczy śpiesznie, gubiąc po kolei myśliwych na oznaczonych stanowiskach. Łowczy Dominik mrugnięciem do p. Abłamowicza wskazuje dawno zasypaną ścieżkę niedźwiedzia i po cichutku mówi: „nawierno on tędy pójdzie", pozostawia księcia W. Pruskiego na

tem stanowisku, a dalej o 30 kroków zostajemy ja z księciem Maciejem. Ledwie przystanęliśmy, a już z głębi lasów dochodzi nas głuchy pomruk jakby z podziemia. Następnie słychać strzały, które mieszają się z hukiem naganki, nastrajają wzrok, słuch i nerwy. To naganka ruszyła, mówi do mnie książę Maciej Radziwiłł.

Widocznie ostęp ogromny, bo raz cichnie wszystko, to znów prądem porwany pomruk wpada w forte, wstrząsa moimi nerwami. Słyszymy już jakieś sapanie i brodzenie w sypkim a głębokim śniegu. Wytężamy słuch i wzrok i widzimy, jak naprzeciw nas, może na 50 kroków wysuwa się jakiś czarny, jak węgiel, bałwan ruchomy, u którego ledwo można dopatrzeć form niedźwiedzich, a już w paru skokach jest przed nami, kierując się na księcia W. Pruskiego. Trudno wymarzyć korzystniejszej pozycji do strzału dla księcia Macieja R., lecz książę Maciej, rehabilitując wczorajszy, nieopatrzny strzał, zdjąwszy czapkę, wymachuje nią dla napędzenia zwierza na gościa. Zaledwie parę sekund upłynęło, gdy strzałem śmiertelnym ugodzony zawisa na kłodzie i zsuwając się z niej, coraz farbuje szkarłatem, niepokalany śnieg.

Jeszcze chwilka wyczekiwania, w czasie której z rewolwerem w ręku książę W. Pruski zbliża się do niedźwiedzia, który leżał już bez życia.

Podążamy i my wszyscy razem, winszując prześlicznego, czarnego niedźwiedzia, a trąby i rogi ogłosiły sygnał „niedźwiedź zabity", niosąc echo w najodleglejsze ostępy.

Tak więc po długich podróżach i przygotowaniach, książę W. zdobył swego pierwszego niedźwiedzia.

Zapalone ogniska słupami dymu pod niebo het gdzieś daleko wskazują uroczystą chwilę w ostępie, a tu zwyczajem myśliwskim, starką stuletnią i bigosem zakańczają polowanie, nastrajając wszystkich świątecznie. Łowczy Dominik tryumfuje teraz, że tak swemu chlebodawcy się przysłużył, i przyrzeka, że jeszcze więcej takich niedźwiedzi ma w ostępach.

Książę Wilhelm Pruski promienieje z radości i z podziwem przygląda się tej masie naganki, która, jak potop, napływa, otaczając myśliwych i ogniska.

Szkicuję kilku najoryginalniejszych poleszuków i ogniska. Powrót do domu (do Deniskowicz) w błogim nastroju zadowolenia i pracującej wyobraźni o jutrzejszem polowaniu na niedźwiedzicę z dwoma piastunami.

Wobrębie dostępnym z Daniskowicz leżą jeszcze trzy niedźwiedzie. Jeden niedźwiedź, jedna niedźwiedzica z tegorocznymi niedźwiadkami i jedna niedźwiedzica z dwoma piastunami.

Ponieważ książę Wilhelm Pruski ma czas ograniczony, więc gospodarz poświęca mu swą niedźwiedzicę z tegorocznemi młodemi.

Polowanie na niedźwiedzicę z dwoma piastunami odbyło się trochę inaczej, niż było uplanowane. Niedźwiedzica wyszła na majora Kronigka, adjutanta księcia Wilhelma, i ten jednym strzałem położył ją trupem, a dwa piastuny, które już w ostępie opędzały się psom, wpadły na stanowego prystawa, p. Diedulina, którego omal nie poturbowały, ale coraz większa zgraja psów stworzyła takie kłębowisko, że nikt nie miał odwagi strzelać, aby psów nie postrzelać, więc poduszone zostały przez ogary. Następnego dnia zabił książę Wilhelm jeszcze jednego wielkiego niedźwiedzia, a na zakończenie zapolowano jeszcze na ową niedźwiedzicę z czterema młodymi niedźwiadkami tegorocznymi. Upolowanie tej niedźwiedzicy było trochę skomplikowane tem, że, pomimo iż ją poruszono z barłogu, nie chciała wyjść na linję strzelców, ale krążyła w ostępie i prawdopodobnie nie chciała opuścić młodych. Według głosu psów, raz zbliżających się do linji strzelców, raz oddalających się, p. Abłamowicz skombinował, że krąży wkoło barłogu, tembardziej, iż w bardzo głębokim śniegu wygodniej jej utartą drogą spacerować, więc postanowił zejść ze stanowiska i podejść do tej drożyny. Brnąc na przełaj, ledwo dotarliśmy do tego koryta; w śniegu już usłyszeliśmy sapiącą niedźwiedzicę otoczoną zgrają psów i tak szybko zbliżającą się, że książę Wilhelm prawie „a bout portant" strzelił; p. Abłamowicz dla uniknięcia jakiegoś nieszczęścia, dorzucił swoje dwa strzały. Niedźwiedzica rozciągnęła się na bielutkim śniegu, bluzgając posoką, stargana przez ogary. Otrąbiono „niedźwiedź zabity" i wtedy całe towarzystwo i setki naganki zebrało się przy zabitej niedźwiedzicy, rozpalając ognie.

Cudny zachód słońca ozłocił śnieg, drzewa, ludzi i dymy wznoszące się pod niebo; odgłosy trąb zwołujące zbłąkanych, dostroiły się do najwyższego fortissime akordu, zaintonowanego przez naturę i myśliwych.

Po wychyleniu, jak zwykle, jeszcze paru kielichów stuletniej starki wojniłłowiczówki, w najmilszym nastroju wracali myśliwi, wioząc wspaniałą niedźwiedzicę i cztery żywe niedźwiadki.

Następnego dnia książę Wilhelm Pruski, odprowadzony do stacji Lachowicze, opuścił Polesie, wywożąc skóry trzech zabitych niedźwiedzi, jednego łosia i dwa żywe niedźwiadki.

Pozostali: książę ordynat Antoni Radziwiłł, książę Maciej Radziwiłł, w parę dni przybyły ks. Wilhelm Radziwiłł, brat ks. ordynata, Michał Abłamowicz i piszący te wspomnienia, kontynuowali dalej polowanie na niedźwiedzie, przenosząc się do puszczy Nalibockiej w dobrach księcia niegdyś Wittgensteina, obecnie ks. Hohenlohego. Z powodu że te dobra z rozkazu rządu rosyjskiego miały być sprzedane i rozparcelowane, książę Hohenlohe pozwolił wystrzelać wszystkie niedźwiedzie, jakieby w lasach obejmujących przestrzeń dwóch miljonów morgów, mogły się znajdować. Opuszczamy Deniskowicze dwór i przenosimy się do Działłowicz i kwaterując na leśniczówce i folwarku, polujemy przez całe trzy tygodnie. Rezultatem tych łowów było jeszcze jedenaście niedźwiedzi, dwa piastuny i kilkoro młodych, zabranych żywemi z barłogu.

JULJAN FAŁAT.

MOJ SEZON JESIENNO - ZIMOWY 1929.

Opowiem od początku. A że początek winien przypaść na Świętego Huberta, więc rozpocznę od kilku luźnych uwag na temat dnia, który odznacza się tem, że pisma łowieckie pobudza do wydania numeru hubertowskiego, pismom zaś humorystycznym dostarcza — rzecz szczególna — materjał na ten sam temat. Żeby w dalszym ciągu i coraz lepiej wprowadzać w atmosferę łowiecką, wystarczy w związku z cytowanem świętem wspomnieć, że dla godniejszego uczczenia uroczystości niektóre pułki organizują biegi myśliwskie! W biegu, poza zapisanymi końmi, zaproszonemi paniami, myśliwych spotyka się rzadko. A mimo to impreza nosi charakter stosowny do nazwy — „polowaniowy". Chociaż zazwyczaj trudno przewidzieć, kto na co będzie miał sposobność, ze względu na różne konie i różne przeszkody. Obecność płci pięknej wskazywałaby raczej, że zwierz się pokaże rogaty, ale tego po pierwsze nigdy nie widać, a po drugie wszyscy i tak wiedzą, gdzie jest i z powodu kogo. Zresztą nkt nie pała szczerą chęcią zobaczenia groźnej zjawy wśród łąk i lasów, toteż bieg udaje się zazwyczaj znakomicie — bez rozkładów.

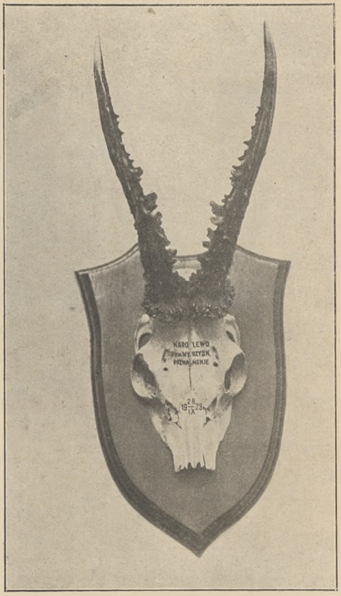
Zagranicą na zakończenie trąbią: Halali! Piękne to i ducha podnosi, wskrzesza dawnej umiejętności łowieckiej tradycje świetne... U nas również się trąbi. Ale u nas się to nie nazywa „halali", tylko — „Monopolówka". Ta fanfara podtrzymuje ducha czasem do rana, na drugi dzień. I namiętności wskrzesza dawne, praojców świetne dziedzictwo. Polacy zawsze mieli sentyment do tych rzeczy. Ambicję i wytrzymałość. I dlatego jest ich dziś wszędzie tak pełno.

Nie brałem udziału w żadnym biegu myśliwskim, a że nie było z kim trąbić fanfar, więc czciłem rozpoczęcie sezonu, tak jak na to pozwalały warunki. Te same, jakim zawdzięczając, musiałem na ten rok pożegnać się z myślą o pięknych rozkładach bażancich i zajęczych, o wesołej i najmilszej kampanji braci-myśliwców, którzy tam pewno używają kniei, łowów i wszelkich szlachetnych, a hucznych radości ile się zmieści. Kiepski sezon. Cóż po zaproszeniach? Cóż po obietnicach, w których taiły się do niedawna drobne światła nadziei?

Więc też gorzko smakował bigos u „Bartka", którym, cienko zakrapiając, rozpoczynałem sezon — w Paryżu.

Francuzy właśnie zaczęły polować na skowronki. Radują się, na łamach pism „fachowych" kłócą się, jakim śrutem strzelać, i czy na sztych, czy może wprost przeciwnie? Wymyślili „miroir y", rodzaj ramion drewnianych, nadziewanych drobnemi szkiełkami, które kręcąc się, migotem wabią podobno skowronki, jak u nas późną jesienią puhacz gołębiarze. A że powszechnie odprawia się we Francji wielkie łowy skowrończe, świadczą o tem pełne drobiazgu ptasiego sklepy, gdzie się też czasem kos, albo drozd, albo żołna zabłąka. Oczywiście zaraz odpowiednia dekoracja okna — kos w środku, z ogonem bażancim dla efektu, naokoło trzema wianuszkami układają się skowronki, czasem się zając znajdzie, albo sarna, której w pysk włożą pomarańczę — jednem słowem, wszędzie zmysł artystyczny i kultura i sztuka stosowana. Człowiekowi na ten widok i przykro i zabawnie zarazem na duszy.

Nie mogę próżnować, skoro sezon w pełni i zima za pasem. Jekże wyzbyć się nagle namiętności łowu? A z drugiej strony — jak ją zaspokoić? Znajduje się jakieś półśrodki w tym światku. Wszystko się ostatecznie da sprowadzić do pojęcia łowu. Chociaż trudno ciągle żyć namiastkami. Zwłaszcza, że mimo, iż przedmiot myśliwskich zapędów łatwy tutaj, sposób ich bywa nieraz niezwykle skomplikowany. Co zresztą tłumaczyć...



ROGACZ ZABITY W KAROLEWIE
pow. Wyrzysk, Poznańskie, dnia 28.IX.1929 roku
przez pułkownika Władysława Andersa,
dowódcę Kawaleryjskiej Brygady w Równem.

W sumie razi mnie jednak brak łowieckiego poczucia u nadsekwańskich myśliwych. Wszystko u nich sport. Skowronki i cietrzewie, polowanie w puszczy polskiej i łowienie ryb z mostów paryskich. (Woda brudna, a rybki maleńkie). Tak to sobie bez różnic i bez skrupułów, do jednego poziomu sprowadzają. I nie wierzę, aby kiedykolwiek przejrzeli. Łowiectwo francuskie wydaje mi się być czemś, czego chwilami na serjo brać nie można. Przyglądam się jeno z cie-

kawością objawom upadku i poniektóre szczegóły w pamięci notuję. Przydadzą się może jako ostrzeżenie dla nas.

Zajęciem mojem ulubionem jest łów na artykuły i pisma myśliwskie. Dziennikarstwo ma w sobie też coś z myślistwa. Ze wszystkiego, co w tym czasie czytałem, z łowieckiego punktu widzenia najbardziej interesujący nas, jest artykuł z „Moniteur du Calvados", pisma wychodzącego w Caen (Normandja) p. t.: „Co czyni Polska dla zachowania pięknej i rzadkiej zwierzyny". Autor tego artykułu, Henri de Montfort, pisze na podstawie wiadomości nad podziw dokładnych o Wystawie Łowieckiej w Poznaniu, o rozmieszczeniu i gatunkach naszej zwierzyny i gdyby nie to, że mu się tury z żubrami gruntownie pomyliły (tury — aurochs — są jeszcze, powiada w zwierzyńcu poznańskim, a były przed wojną w Białowieży, natomiast żubry — bisons — znajdują się jedynie na Górnym Śląsku. Polacy, pisze, postanowili skrzyżować tury poznańskie z żubrami i czekają w tej chwili, co z tego wyniknie), trzebaby artykuł wspaniony postawić za wzór sumiennych i dokładnych informacyj o nas zagranicą, gdzie narażeni jesteśmy na stek bzdur, na nasz temat bezkrytycznie wygłaszanych i powtarzanych. De Montfort wie nawet o bobrach w Bucharzewie. O wystawie mówi z uznaniem człowieka olśnionego niespodziewanem mnóstwem pięknych trofeów. Czyżby ją był rzeczywiście widział?

Pisałem niegdyś, z powodu planów przyszłorocznej wystawy Turystyczno - Komunikacyjnej w Poznaniu o roli, jakąby w związku z nią odegrać mogło łowiectwo. Artykuł przeszedł bez wrażenia. Przytoczę tutaj zdanie kończące cytowany, francuski artykuł, w dosłownem tłumaczeniu: „Wszystko to (wyliczał m. i. rozmaite gatunki naszej zwierzyny na podstawie trofeów z Pawilonu Łowieckiego), pozwala zrozumieć, że łowiectwo w Polsce nie jest rozrywką uprzywilejowanych, ale stanowi rzeczywiste bogactwo narodowe, które, skoro tylko wiadomość o niem przeniknie zagranicę, prowadzić będzie do tego kraju coraz liczniejszych miłośników łowieckich wrażeń".

Świadomość tej wartości, rozpowszechniana jaknajszerzej u nas, doprowadzi do większego niż dotąd liczenia się z nią, do coraz skuteczniejszych zabiegów około zapewnienia jej opieki, pod którą swobodnie i spokojnie mogłaby się trwale rozwijać, zaszczyt przynosząc kulturze kraju, w jakim zawczasu pomyślano i przeszkodzono jej wyniszczeniu i upadkowi, co gdzieindziej musiało nastąpić.

Nie wiem, w jakim stopniu artykuł p. Henri de Montfort był inspirowany przez czynniki polskie, którym zależy na rozpowszechnieniu wiadomości związanych z bogactwem naszych zwierzostanów. Sądząc z „Reflexions d'actualité" pióra H. du Blaisel d'Enguin (Intransigeant, 15 listop. b. r.), gdzie cytuje się zdania artykułu Montfort'a i mówi o nich, jako o wyjątkach noty Konsulatu Polskiego (sic!), gdzie w dalszym ciągu pochwala się działalność Rządu Polskiego, który mądrą, systematyczną akcję propagandy łowiectwa rzekomo wszczyna, mielibyśmy do czynienia z ciekawym rzeczywiście postępem właściwego zrozumienia roli łowiectwa w gospodarce narodowej, wśród czynników decydujących.

Obawiam się, na podstawie rozmowy z kierownikiem działu łowieckiego Intransigeant'a, że zaszło tu jednak, niestety, ze strony p. H. du Blaisel optymistyczne nieporozumienie na naszą korzyść. Nie starałem się, rzecz jasna, prostować przyjemnych dla nas nieścisłości. Byłoby wszakże pięknie, abyśmy w rzeczywistości mogli zasługiwać na podobnie pochlebną ocenę, której sens francuskiemu łowiectwu za niedościgły przykład się stawia, za wzór umiejętnego wykorzystywania przyrodzonych, a jedynych w swoim rodzaju bogactw.

Mimo iż samo pojęcie łowiectwa, jak już wspomniałem, niższe jest we Francji, i często nawet na poważne traktowanie nie zasługuje, rzeczą zastanawiającą jest, że pisma codzienne sprawom łowieckim wiele poświęcają miejsca, nie szczdząc rubryk osobnych, a nieraz pełnych szpalt. (U nas jedynie „Dziennik Poznański" od pewnego czasu stale, co tydzień, sprawom łowiectwa poświęca całą stronę). Łowiectwo w prasie francuskiej omówię w najbliższym czasie w osobnym artykule.

Echa z Polski chwilami napawały mnie mocnem zdziwieniem. Z okazji rozpoczęcia sezonu puszczono w naszej prasie codziennej kilka artykułów o łowiectwie. O ile bardzo przyjemnie czytało się artykuł „Wiosna myśliwego" w „Kurjerze Porannym" (Nr. 314), o tyle np. „Łódzkie Echo Wieczorne" (Nr. 288), pisząc o polowaniach par force w Anglji, jako o czerwonym sporcie, nietylko samą jego nazwą przeraża, ale też informacjami w tym rodzaju, że we Francji odbywają się dotąd w lasach państwowych łowy na wilki, i to łowy „z całą okazałością czasów feudalnych". Donoszę, że najbliższe takie polowanie odbędzie się nieodwołalnie dnia 1 kwietnia roku przyszłego.

Mój sezon jesienno-zimowy nie obfituje w bogate, łowieckie prawdziwie, wrażenia. Przeto chodzę sobie czasem, aby serce stęsknione uradować, na zloty kaczek do Bois de Boulogne!

Żeby ludzi nie widzieć, poszedłem raz w deszcz. Pomyśleć — o dwadzieścia minut od Champs Elysées, krążą o zmierzchu nad stawami lasku bulońskiego kaczki. Jest ich tu i za dnia pełno. Nie szczędzono im bułek ani opieki, przywykły do ludzi. Zwołują się głośnem kwakaniem wypierzone już, barwne kaczory, przez niebo szare świstem skrzydeł suną kluczami, jak u nas, aby zatoczywszy kilka szerokich kół, zanim uderza na wodę, rozorać wreszcie pluskiem srebrzystych rozbryzgów gładką i nieruchomą powierzchnię. Wzruszenie, oczywiście, na ten widok. Że właśnie tutaj, niemal pośrodku olbrzymiego miasta! Choć nad stawami, żeby nie nieustanny szelest sznurów sunących samochodów, można czasem zapomnieć o niem, kiedy razem ze świstem skrzydeł nabiegają przypomnienia inne, kuszą czarem rozkoszy zostawionych daleko, wabią obrazami odżywających wzruszeń dawnych, przymglonych w przeszłości, a tutaj rosnących znów, jakby je mogła nasilić odległość, co się w tej chwili zdaje nie mieć granic.

Bywają skojarzenia jeszcze bardziej niecodzienne, niż ciągi kaczek w Paryżu, albo w Berlinie (bo i w Berlinie widziałem dzikie kaczki, siadające na kanale,

który płynie wzdłuż bardzo ruchliwych ulic śródmieścia).

Nie zdarzyło się pewno żadnemu z naszych myśliwych, odnaleźć związków pomiędzy myślistwem — a gramofonem.

Miałem taką przygodę. A było to w Luksemburgu. W towarzystwie miłej obywatelki tego małego, a przecież bogatego państewka, w willi podmiejskiej słuchałem płyt gramofonowych na pięknym instrumencie „His Master's Voice". Mam słabość do takich intymnych koncertów. I dalibóg nie myślałem wówczas ani o dzikach, ani o lesistych okolicach gór ardeńskich, w których dziki tutejsze mieszkają.

Jack Smith, „szepcący baryton", śpiewał właśnie z czarnego pudła, na którem toczyła się aksamitnymi połyskami płyta — ulubione „Blue Skies".

Moja towarzyszka uśmiechnęła się. — Piękna płyta.

— Piękna — powiedziałem, patrząc w jej ciemne, niepokojące oczy.

rem obok samochodu. Ale trwało to za długo, przeszło dziesięć minut. Więc siadłam z powrotem, i oczywiście gramofon. W zamkniętej limuzynie nawet dzikom nie przeszkadza. Kilka płyt po kolei. A potem „Blue Skies" — to właśnie. Nagle szofer zapukał w szybę. Szły dziki. Nie zdążyłam zamknąć gramofonu. Grał. Szofer otworzył drzwiczki. Szły wysokim lasem, kilka dużych sztuk — wystrzeliłam za niemi wszystkie pięć kul. Przebrzmiał okropny łomot szybkich wystrzałów, a na gramofonie ciągle — „Blue Skies". Na drugi dzień znaleźli mojego dzika. W tydzień potem miałam telefon, że się znalazł. Nie widziałam go coprawda, ale mówili, że duży. Teraz pan rozumie mój sentyment do tej właśnie płyty...

Zataiłem odpowiedź. Ale tu powiem otwarcie — nie, nie rozumiem. Uwielbiam łowy i kocham piękne płyty, każde na swój sposób. Byle nie razem. Nie widzę możliwości, żeby tu znaleźć połączenie. I dlatego zostawiam ten problem estetyce. Niech powie o sko-



Rykowisko w lasach Bytyńskich 1929 r. Fot. inż. Czaykowski.

— Wiążą się z nią dla mnie prześliczne wspomnienia.

Nie odpowiadałem. Może jakaś dawna miłość? A że podróżowała wiele, przeto myślę: pewno na okręcie, w drodze do Indyj — i noc księżycowa na pokładzie, i norweg, albo szwed(mówiła: że lubi ludzi północy), razem ze stłumioną melodją tej płyty, z której szepce, jak nikt, niezrozumiałe, zaklęte słowa miłości Jack Smith...

Rozwiała moje przypuszczenia.

— Przy tej muzyce zabiłam dzika!..

Osłupiałem.

— Przecież nie przyszedł do gramofonu?

— Nie, pojechałam go szukać w dalekim lesie ardeńskim. A było tak. Polują u nas z psami. To znaczy, że pieski tak długo gonią dziki, aż te nie wyjdą na myśliwego. A myśliwych jest wielu. Pojechałam oczywiście limuzyną (Farman). Łatwiej zdążyć samochodem na przesmyki. Tak też zatrzymaliśmy się na szosie, w miejscu, gdzie miały przechodzić. Miałam w samochodzie Winchester, no i gramofon. Pan wie, bez gramofonu się nie ruszam. Czekałam ze sztuce-

jarzeniach w odczuwaniu piękna pierwotnego i piękna tworów cywilizacji, wybiegających już w przyszłość, o skojarzeniach niezwykłych, a przecież tak zwykłych w umyśle człowieka współczesnego.

A tymczasem, gdy patrzyłem na swoją pogromczynię dzików, przypomniały mi się z hubertowskiego numeru „Vie Parisienne" dwa rysunki, z następującym napisem: Ta, którą niegdyś trwogą napawał widok dzika, dziś nie zna lęku nawet przed lwem! A na rysunkach: Polowanie w 17 w., kiedy się to oszczepem skłuwało groźnego odyńca, a jako przeciwstawienie — wiek XX, samochód pancerny, na którym zmontowano karabin maszynowy, a przy samochodzie dwie piękne, wiotkie panienki, przy !wach ubitych odważnie!

W „Lustige Blätter", z tej samej hubertowskiej okazji — obrazek przyszłości, rok 1950. Samochód na gąsienicach przez rowy, góry i pola gna za chmarą jeleni. Na podwyższeniu siedzi myśliwy i serjami z kulomiotu dziesiątkuje chmarę. Myśliwy przy sterze na to: — Skończ już z tem strzelaniem. Resztę i tak dostaniemy przy pomocy gazów trujących...

Dowcip niezły. A co powiedzieć na rzeczywistość,

której szczęśliwym epilogiem stał się w Afryce zakaz polowania nocą ze światłem? Rzeczywistość owa wyglądała w ten sposób, że dwom młodziutkim amerykanom rodzice-miljarderzy, jako nagrodę za zdanie matury, zorganizowali wyprawę do Afryki Wschodniej. Pomysłowi młodzieńcy zmontowali sobie na jednym z samochodów silne reflektory. Polowali nocą, oślepiając na ogromne odległości wszelką zwierzynę. Rezultat wyrażał się, jeśli o same lwy chodzi, w przeszło siedemdziesięciu sztukach. Jakże barbarzyńska jest chwilami wspaniała cywilizacja naszego wieku!

Zarządzenia dzisiejsze coraz powszechniej na całym świecie biorą w obronę zwierzynę, nawet w krajach dzikich. Surowość ich jest pocieszającą gwarancją uniemożliwienia wybryków strzelcom, podszywającym się pod miano myśliwych. Same jednak zarządzenia nie wystarczą. Musimy dążyć do wyrobienia takiej opinji, któraby poza rygorami prawa, raz na zawsze surowo piętnowała wszelkie tego rodzaju wykroczenia.

Sądząc z ambicyj w tym kierunku, jakich wyrazem niejedne w prasie naszej na ten temat publikacje i niejedne zarządzenia władz naszych, nie jesteśmy na ostatniem miejscu. Dążeniem wszystkich być jednak powinno wybicie się na pierwszy plan, na przodujące stanowisko w tej zaszczyt przynoszącej pracy i działalności.

Wypadnie mi tutaj nawiązać do artykułu mego „Myślistwo Przyszłości", z hubertowskiego numeru „Łowca P.". Tym, którym idea tego artykułu przemówiła do serca, powiem jedno: — Czytajcie Bengt Berga! O książkach tego wspaniałego szweda napiszę w bliskim czasie, napiszę z tą samą radością, z jaką je czytałem, z jaką zawarłem znajomość z jego orłami, ze wszystkiem bogactwem i pięknem jego ptaków przelotnych, jego łabędzi... Panowie Wydawcy! Zabiegajcie o to, aby się ukazało coprędzej tłumaczenie tych książek na język polski. Dostępne są w tej chwili jedynie w niemieckich, prześlicznych zresztą wydaniach... Myśliwi! Czytajcie Bengt Berga!

A tymczasem ku schyłkowi zbliża się sezon. I rok idzie nowy. Trudno na tem miejscu powtarzać wnioski, jakie z bogatych i licznych doświadczeń roku ubiegającego wynikają, jakie nieraz już formułowano, aby pod rozwagę je społeczeństwu łowieckiemu poddać. Tylko o jednem należy pamiętać. Postępu nikt jeszcze nie stworzył ciągłem powracaniem do rzeczy dawnych, minionych, przebrzmiałych. Tamto niechaj się zawrze w skrócie, w krótkiem obliczeniu strat i zysków, — w zwięzłej nauce wskazującej kierunek, w tem przekonaniu, że strat jest jeszcze więcej, niżli zysków. Lepiej, myślę, w ten sposób patrzeć, bo niema gorszego wroga istotnego postępu, niż ten pobłażliwy optymizm, z jakim się u nas łatwo nad sprawami nieraz wielkiej wagi przechodzi. Pobudzać i pożądaniem owocniejszych rezultatów zapładniać może tylko rozsądny krytycyzm, jaki nie powinien się obawiać skali najszerszych nawet porównań, bo one właśnie uczą, pokazując dobitnie błędy, ale zarazem też sposób ich unikania. Pozostaje mi zakończyć sezon jesienno-zimowy tegoroczny tak, jak go zacząłem — daleko. Jeno wspomnieniem i myślą żyjąc tych łowów, w dni jesienne albo na ponowie, jakie serca prawdziwych myśliwych zespalają i zapalają ukochaniem dla piękna i bogactw kniei polskiej. A przecież byłoby dobrze, aby choć cząstkę zapału, jaki każdego myśliwego na polowaniu ożywia, odstąpić pracy w organizacjach i zrzeszeniach łowieckich, od których rozwoju i znaczenia postęp kultury łowieckiej jedynie jest zależny, a które czasem jeszcze zmuszają do przypuszczeń, że wśród myśliwych samych niema komu interesów myślistwa bronić i o nie walczyć! Rozbudzenie poczucia obowiązku, jaki każdy, bez wyjątku myśliwy, ma wobec kniei polskiej, aby się nie stał jej wieczystym dłużnikiem, ciągle jeszcze pozostaje zagadnieniem aktualnem. Więcej uwagi i pomocy należy się także naszej prasie fachowej, która — bądźmy szczerzy — nie stoi jeszcze na poziomie, którego przy czujnem i nieustannem współdziałaniu wszystkich powołanych spodziewaćby się należało.

Polowania zimowe są wyjątkową okazją do propagandy w kierunku wydatniejszego jej poparcia. Jest to naprawdę wstyd dla myśliwych — a znam takich i mógłbym nazwiskami cytować — godny surowego napiętnowania, jeśli polskiego pisma łowieckiego nie kwapią się abonować, i wstyd dla tego, który z niem, jeśli tylko może, nie współpracuje. Tem samem nietylko opóźniają postęp, nietylko sami tracą korzyści, wynikające z informacyj aktualnych a koniecznych, ale przyczyniają się do obniżenia powagi, do osłabienia sił tej społeczności, jakiej praca i wysiłki w skutkach wykazują braki, mając je do zawdzięczenia tylko rzeszy gnuśnych, niedbałych, — postępowaniem swem krzywdę sprawie i ogółowi łowieckiemu czyniących!

A wkońcu, niechaj razem z puszystą bielą ponowy, razem z uśmiechem zimowego słońca nad rozłogami polskich pól i puszcz, jasność wypełni serca łowieckie, aby z pogodnem, podniesionem czołem, w rumieńcach młodych, jakie mróz ostry nieci, wchodzili w progi Roku Nowego, czekającego już znowu na zakasanie rękawów i wzięcie się do pracy, której celem rozkwit myślistwa naszego.

Gdy piszę te słowa, pewno tam w Kożuszkowie, Wruchocicach i Obrze, w lasach Ludwikowa i w Kobylempolu, w Bytyniu i Brudzyniu, we wszystkich bliskich mi i nieznanych łowiskach, polowaniem rozbrzmiewa knieja, ochotą radnosną zapala się wzrok myśliwych, święcą się dni żniw dla hodowców, którzy cały rok niestrudzenie około poprawy zwierzostanu zabiegali.

Gdy piszę te słowa, wiem, że pewno tej samej chmurnej nocy, w Komorzy dziki przyszły do kopców na Płazie, — czarne zjawy wyłonione z pośród bieli ośnieżonych zagajeń, — rozsypały się, głośne, na śródleśnych szmatach pól i pyskają za ziemniakami, nieustępliwą mocą gwizdów rozgarniając śnieg i twardą skibę. Zgaduję, jakim przesmykiem i kędy pójdą, wracając, nad jarem Brdy, z której rwą się teraz chmury dzikich kaczek... Tylko że jutro, skoro świt, nie będę mógł pójść śladem dziczych dróg, aby odczytać

bieli śniegu powierzone tajemnice życia kniei, życia, jakiego urok ogarnia i raz na zawsze przykuwa do siebie serce wybranego człowieka.

Ani w dzień wigilijny, w dzień szlachetnej radości myśliwych, po polowaniu, kiedy śnieg się o zmierzchu pocznie słać na las, ogarniając go ciszą i ukojeniem wszystkowładnem, nie będzie mi danem odetchnąć łagodną, żywiczną i zimną wonią świerczyny gęstej, czapami śniegu ubranej, jak te drzewka Bożego Narodzenia, które święto przebaczenia przypominając, pokój i miłość zwiastować mają wszelkiemu stworzeniu.

ALEKSANDER JANTA-POŁCZYŃSKI.

Paryż, w grudniu.

SYLWETKI MYŚLIWYCH DAWNEGO AUTORAMENTU.

Ś. P. STANISŁAW WERSOCKI.

I.

Był administratorem obszernych (28 tysięcy hektarów) dóbr Chodkiewiczowskich — Petryków. Część tego dominium przeszła drogą koligacyj do hr. Kosakowskich, część zaś do p.p. Dominikostwa Dowgiałłów. Lecz jeszcze w początkach dziewięćdziesiątych lat przeszłego stulecia, owe tereny całkowicie się znajdowały pod wyłączną kastodją mego długoletniego, najmilszego amfitrjona poleskich polowań. Przyjaciel niezrównany i człowiek, jak uważać zwykli przodkowie, „srodze przyjazny"!... Nie spotykałem prawie ludzi o tak wybitnym „charme", emanującym z całej osoby, jak pan Dominik Dowgiałło. Rzadka wyrozumiałość i łagodność w obcowaniu z podległym personelem, oraz ludnością miejscową, tryskający dowcip i wesołość „de bon alloi", czyniły z p. Dominika jedynego w świecie kompana podczas „wysiadywań" w zakopconych „kurzeniach" — w okresie toków wiosennych.

Po kilkudniowym pobycie w tym prymitywnym „home", człek rzetelnie „wydymiony i wywędzony", śmiało mógł konkurować z dobrze przyrządzoną szynką litewską. Nigdy nie zapomnę, że to właścicielom Petrykowszczyzny zawdzięczam epokową datę w swem życiu myśliwskiem, albowiem mój pierwszy głuszec padł w rewirach Zerdzi, należących do tego majątku. Niech mi wolno będzie jeszcze raz złożyć mu szczerą podziękę za gody łowieckie w mgle lat ubiegłych, niegdyś z taką intensywnością przeżytych i przemarzonych.

Oprócz tego zostałem łaskawie raz na zawsze zaproszony na owe doroczne „delicje" i otrzymałem ponadto „carte blanche" operowania „ze strzelbą na ramieniu", na całym tym ogromnym obszarze w przeciągu roku całego. — Bagatela! — To też, aż do wojny europejskiej nie omieszkałem ze swoimi satelitami, strzelcem Adamem Dymniczem i kozakiem Maksymem Demczukiem zjeżdżać na toki — latem na dubelty, kaczki, młode cietrzewie, — zimą zaś na dziki, łosie — podjazdy teteruków.

Do dna więc danem mi było wychylać puhar rozkoszy i przedziwnych dreszczów łowieckich. Inscenizatorem tych wypraw i „per modum" gospodarzem był aż do swej śmierci, w razie nieobecności właściciela, sympatyczny, jak go nazywali „uprawljauszczyj" (rządca) — Wersocki. Pan Dominik stale zamieszkiwał w swych starożytnych dobrach na Kowieńszczyźnie, Siesikach. Rezydencja ta sięgała jeszcze czasów krzyżackich, posiadała „basztę", w której ongiś gorzał wieczny „znicz" za czasów pogańskich. (Dziś, oczywiście, wspaniały zamek z okrąkiem ziemi praojców „zohydzony" jest i gruntownie „skurczony" przez Waldemarasów „et consortes"!.. Czcigodny pan Dowgiałło jednak nie opuszcza ojcowizny, zamieszkując ją stale. Przykład obowiązku obywatelskiego godny naśladowania).

II.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, zacny pan Wersocki, podobnie jak tyle innych rzetelnych dusz myśliwskich, nie posiadał, zdawałoby się, żadnych kwalifikacyj do szczytnego miana Nemroda. Z zawodu był to taksator-geometra. Jakim sposobem wyniesiony został na szczyty hierarchji administracyjnej wielkiego, o skomplikowanych interesach majątku — nie wiem. Zresztą, skonstatować nieraz mogłem jego bystrą orjentację w różnolitych sprawach, zdrowy rozsądek, a przedewszystkiem prawdziwie „staropolską" uczciwość i przywiązanie do swych chlebodawców. Do tego gruntowna znajomość psychologji



Jeleń, ubity przez p. Zdzisława Orłowskiego w Stajkowie, we wrześniu 1928.

miejscowej ludności, jej gwary i zwyczajów. Pasja myśliwska „in sumo grado", miłość ku przyrodzie, czyniły z tej szczerej, jak łza, postaci, indywidualność arcy sympatyczną w obcowaniu. Lecz oryginał był to niemały. Zewnętrznie rudobrody, zakroju powiedziałbyś „germańca" czystej wody, tylko poczciwe nasze polskie, błękitne oczy, ujawniały cały bezmiar dobroduszności.

Ponieważ długie lata pracował w swej taksatorskiej działalności wyłącznie niemal na Polesiu, więc na

skutek tego, miał wyrobiony zapas staroświeckiego humoru, naiwnej chytrości i tej prawdziwej pogody ducha, której naprózno byś szukał, Czytelniku najmilszy, śród neurastenicznych mieszkańców „miasta złego". Stanowią one bowiem skarbiec istot a naturą ciągle żyjących. Od czasu do czasu jednakże lubił i p. Stanisław zanurzyć się w rozkosze wielkomiejskie, których sezam dla niego otwierały pobliski Mińsk, lub dalszy Kijów, albo Warszawa. Posiadał nawet na okazje podobne czarny surdut, nieco kroju mistrza ceremonij pogrzebowych i solenny cylinder, jaki się widzi na starych dagerotypach. Będąc kawalerem, nikogo z rodziny nie mając, oprócz czcigodnej matki, w wieku około 120 lat będącej, a jednak będąc o „inklinacjach" nieco „donżuanowskich", musiał pewną folgę złożyć także i na ołtarzu flirtu z piękną połową rodzaju ludzkiego — przezacny pan Stanisław!... Lecz trwały te eskapady bardzo krótko, będąc zwykle z wyjazdem w interesach majątkowych połączone. Dni kilka, i już „rwał" się z powrotem „do domu", do rojstów Polesia starego, do „kurnych" chatynek, w noce zimowe od światła „łuczyw" gorejące — precz z elektrycznością wszelką!... Kochał ich mieszkańców, tych „diad'ków" statecznych, baby i dzieci kołtuniaste! Jego żywiołem były owe „nakatniki" grobelki, narzędzie tortur dla mieszczuchów, bezbrzeżne błota i łąki trawiaste, pełne „ciecieruków" i dubeltów — piekurów (nazwa miejscowa rodu bekasiego), kanały drenażowe, o żółtej, jak mocna herbata wodzie, brzeźniaki, olszniaki i łoziny i gotyk pni leśnych, poważnych drzewostanów, kędy to głuszec wiosenne swe misterja zwykł odbywać w przedświtach poranków.

Tereny te potrzebne mu były i niezbędne do szczęścia całkowitego. Krew się czyści i „humory" wszelkie zanikają wtedy, a człowiek cały, jakby na nowo „odrodziwszy się", po świecie Bożym chodzi — zwykł był mawiać, poczciwiec.

III.

Cały zespół otaczających go współpracowników, od leśniczego Ejdrygiewicza począwszy, wszyscy ci Baranowscy, Niekraszewicze, Hołosy, Sytnice, Humeniaki — stanowili grono prawdziwie „dawnego autoramentu" sług, czasów na zawsze zamarłych. Cieszył się śród nich nasz pan Wersocki ogromnym autorytetem i „konsideracją"... „Ce wielmi rozumnyj, piękny panok cej nasz uprawlajuszczyj" — stanowił „leit-motyw" określeń, administratora, przez jego podwładnych.

Jako żywo pamiętam te swoje przyjazdy do Petrykowa, w którym to z niezmienną „kordjalnością" byłem zawsze przez niego witany. Staroświecki dwór, bardzo ciekawy budynek, „basztą", zwany, z odwiecznych bierwion modrzewiowych, przeróżne lamusy, świronki, wędliniarnia, o ścianach, na których „dyndały" tłuste połcie wieprzowe i szynki. Uplastyczniała się w wyobraźni od podobnego widoku podróżna kałamaszka księdza kwestarza-bernardyna, jowialna wielce jego sylwetka i pożądliwe spojrzenia na obfitość wyrobów masarskich. Naokół zagajenie z lip starych, szumnie, nie inaczej, jak „parkiem" zwane. Wszystko na wysokiem wzgórzu, z którego wzrok opierał się aż tam het! po za wiosennym rozlewem Prypeci, w pasmo okalających puszcz: Ostrożańskich Tyszkiewiczów, Dereszewicz - Bryniowa Kieniewiczów, oraz rządowych kompleksów leśnych. Widniały na szerokich wodach kępy łoziny, rosochate dęby na łąkach rozsiadłe, ostrówki przeróżne. Szeroko się tam oddychało tem jedynem, specyficznem, poleskiem powietrzem, falami ozonu przepojonem. Harmonja dźwięków gromad akwatyczno-błotnego ptactwa, żabek rechotanie, klekot bociani, słowików i ptaszyn Bożych śpiew w maju, słodko tak duszę koiła. A nad temi wszystkiemi „ślicznościami" królował bajeczny spokój, któremu, zdawało się, nigdy końca nie będzie.

W przyrodzie niezawodnie tak jak było, jest i będzie, — odwieczna stabilizacja nie zmieni się nigdy. Lecz w ludziach — rozmaicie bywało, szczególnie podczas „bezkrwawej" rosyjskiej rewolucji. Jak wino szlachetne, uderza do głowy wspomnienie o moich do Petrykowa przyjazdach.

Co to za radość szczera była z mego i moich satelitów zjawienia się na tem odludziu. A jakie się natenczas szykowały specjały, co za barszcze, kołduny, dziczyzna wszelka, z kwaszonymi ogórkami, jakim podobnych nigdy i nigdzie nie jadałem. Nie zapominała o nas nawet pomarańczarka, jedyna na całą gubernję, zda się, handlarka tym towarem, sławetna Rachela. Kosz złotych owoców pod błękitami nieba Italji zrodzonych, a którychbyś naprózno szukał nawet w Mozyrzu, momentalnie w hołdzie był dla nas przynoszony przez uprzejmą córę Izraela. Cóż mówić o wielce grzecznych napojach i spirytualjach, — stuletnia starka, żórawinowe i z przeróżnych jagód nalewki wytrawne, sekret wyrobu których nawet już dawno zaginął, kwasy musujące, prosto w nos bijące, o właściwościach dziwnej maceracji żołądkowo-leczniczej. A ponad wszystkiem dykteryjki i opowiadania, humoru i jowialności pełne, nieznane neurastenikom dzisiejszym. Krótko mówiąc, delicyj bywało wbród dla dobrego nastroju, podniebienia, odpoczynku jestestwa całego, i nareszcie szczyt rozkoszy — wyjazdy na królewskie łowy, zakańczał akord tej symfonji szczęścia na tym płaczu padole. Zajeżdżała pakowna, przedpotopowa bryka, w którejbyś wszystkie walizki i londyńskie nesesery wszystkich mrących ze spleenu i nudów, angielskich turystów z łatwością umieścił. Powoził nią, dziwne nazwisko Syklifona noszący woźnica, do kościotrupa podobny. Trójka poleskich koników, śród których jeden uniwersalny, jak powiadał Wersocki. Kupiliśmy go od cyganów podczas kiermaszu, który, jak każdemu wiadomo, bywa w Petrykowie dorocznie na Ś-tego Borysa, 26 lipca. To konisko do wszystkiego. Wozi wodę beczkami, pod wierzch „wyśmienity też. Ejdrygiewicz, czy objazdowy, cały las (28 tys. hektarów) obleci i nie zmęczy się. Mój miły cicerone wypraw łowieckich pod względem strojów wyglądał też niesamowicie. Zamaszyste burki, fantastyczne półkożuszki, jesienią i zimą warte były oblicza i oka pańskiego. Dziwnego kroju letnie bundy, marynarki z czesuńczy. Kolonjalny kaszkiet, specjalnie w Kijowie obstalowany, z otworami dla wentylacji, dopełniał całokształtu krawieckiego kunsztu, ściśle zastosowanego do gustu i upodobań sprężystego wielkorządcy.

Bo to proszę hrabiego, wszelkie humory od głowy odciąga, gdy się jest tak ciągle przewietrzywszy się, tak samo, jak na dwa tygodnie do ziemi zakopany twaróg kwas czyści, gdy się go zażyje". A prawdę powiedziawszy, potrzeba bywała wielka w dawne czasy, kiedy to zwierzyny było huk, zatrzęsienie. Łosi bito dziesiątkami, na „pekeflejsz" solono, „zagotowiano" na cały rok dla wiktowania i charczów czeladzi i oficjalistów. A tych dzików, sarn, rysi, lisów, a przedtem niedźwiedzi na skórki. Nie tak dawno i bobrów. Na ptactwo, oprócz dubeltów, polowano mało. Te teteruki, kaczorki, jarząbki na kuchnię, strzelali leśnicy do stołu pańskiego. Toki głuszców były w respekcie. Gdy barłóg niedźwiadka odnaleziono, o! wtedy bardzo okoliczne obywatelstwo „zainteresowawszy się". Byli coprawda tacy i śród panów, że po całych dniach tylko to robili, że z flintą i pieskami włóczyli się po lasach, błotach i rojstach, ale większość miała animusz do czegoś poważniejszego od zwykłego robactwa, — ptactwa i szaraczków. A było wtedy tego, Boże mój, jak pestek, jak prochu!

„Ależ panie Stanisławie, dzięki świętemu Hubertowi, i teraz błogosławione są zwierzostany Polesia".

„Et, nędza z bidą w taniec idą, a mizerja gra na skrzypcach, pożal się Boże! Kolej, tartaki wygubiły dziczyznę u nas, okruszyny zbieramy z dawnego stołu naszych ojców, panie hrabio; teraz, choć lepiej pilnują, wszystko równo, dawne czasy i dawna obfitość nie wrócą nigdy". No, jesteśmy już na Korytyckich błotach. Pamiętasz Humeniuk? pamiętasz Baranowski, jaka tu była ruja łosi w brzeźniakach, a ile bobrów na Korytczance, i barłóg niedźwiedzi nieraz na Orłowie. „Oj, panoczku, wielmi pryczyny (warunki) dobre, a prote ciaper nyma! perewyłaś zweryna (zniknęła), płycia zlatieła (odleciała), jak upolujesz za deń 30 — 40 teteruków, taj poł sotni dubeltów, — to każy (mów) spasybo (dziękuję), treba dobre ciaper streljat', pudłowat' nie można!.." I nie pudłował też zacny pan Wersocki w swej puszczy dzikiej i tak bardzo przezeń ukochanej, kryjącej, pomimo pesymizmu, niemało jeszcze zwierza w swych najgłębszych zakątkach i tajnikach.

IV.

Cieszyłby się niezawodnie duszą swą myśliwską, gdyby dożył do nowej ustawy łowieckiej, gdyby mógł się delektować od ładu i porządków dzisiejszych w hodowlach nowoczesnych, lecz, pomimo to, Jego serce starego myśliwca dawnego autoramentu, płakałoby z żalu nad tem, co już nigdy nie powróci, nad tą pierwotnością łowisk i stosunków myśliwskich, dziś na zawsze w Letę zapadłych. Tak samo, jak moje płacze obecnie, gdy wspomnę tylko o dawnym przyjacielu. Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie!

ADAM RZEWUSKI.

Z PRASY ZAGRANICZNEJ.

— **Próby polowe w Poznaniu.** — „Deutsche Jaegerzeitung" w numerze z d. 1 grudnia podaje p. t. „Związek Hubertowski próbowania wyżłów dowodnych w Poznaniu", co następuje:

„Sprawozdanie z prób polowych, odbytych dnia 21-go września 1929 r. w oddanym do rozporządzenia rewirze Reszke p. barona v. Leesera z Drzeczkowa.

Po deszczowej i burzliwej nocy nastała piękna pogoda słoneczna przy zachodnim wietrze. Zwierzyny była obfitość, zwłaszcza kuropatw, a pozatem sporo się znalazło bażantów. Zapisano 8 psów, zgłosiło się 7, próbie poddano 5, z czego 4 były niemieckie ostrowłose i jeden krótkowłosy. Sędziami byli pp. baron v. Gersdorff z Parska, nadleśny Bromnitz ze Szklanej Huty, puszkarz Eugenjusz Minke z Poznania i p. Zellober. Przyznano tylko 2 drugie nagrody i 3 trzecie.

2 nagr. „Rhyno v. Ruhrtal", niem. ostr., ur. 20.7.1925 („Strupp v. Ruhrtal" — „Mira v. Woltershof"), hod. Bromnitz ze Szklanej Góry, właśc. weterynarz Sonnenburg z Tarnowa, prow. Feliks Gramowski z Tarnowa.

2 nagr. i odznaczenie zaszczytne dla najostrzejszego psa: „Odin v. Buchenberg", niem. ostr., ur. 10.4.1928 („Mum v. Buchenberg" — „Juno v. Buchenberg"), hod., wł. i pr. leśniczy Bruno Gramowski z Wymysłowa.

3 nagr. „Peter v. Kernweck", niem. kr., ur. 6.12.1927 („Tell v. Rosengarten" — „Bella v. Kernweck"), hod. weterynarz Sonnenburg z Tarnowa, wł. dr. Sondermann z Wyszyn, pr. Feliks Gramowski z Tarnowa.

3 nagr. „Koralla v. Buchenberg", niem. ostr., ur. 16.3.1926 („Ingo z nad Gopła" — „Mira z nad Gopła"), hod. B. Gramowski z Wymysłowa, wł. dyr. Amsler z Poznania, pr. leśniczy Buchwald z Budziszewska.

3 nagr. „Ossa — Mehlauken", niem. ostr., ur 10.4.1927 („Horst v. Winterberg" — „Adda v. Puppensee"), hod. hr. Finkenstein z Mehlauken, wł i pr. Roch Nowicki z Poznania.

Aczkolwiek nie można było udzielić 1-ej nagrody, jednak robota premjowanych psów, z wyjątkiem roboty po farbie, była częściowo prawdziwie dobra. W tej ostatniej „Rhyno v. Ruhrtal" wyróżnił się dodatnio, doprowadzając swego menera do kozła, bez zboczenia z tropów. Robota na drapieżniki ujawniła gorliwość duszenia, jedynie „Ossa-Mehlauken", zadowoliła się dobrem stanowieniem kota. Przy odszukaniu zgubionego lisa żaden pies, ku powszechnemu zadowoleniu, nie zawiódł. Przewodniczący jury, p. baron v. Gersdorff, udzielił odpowiednich nagród pieniężnych i honorowych zasłużonym menerom.

— **Ze stosunków sowieckich.** — Myśliwy niemiecki, Egon v. Bahder, napisał w „Naturschutz":

„W 20-ym wieku w Rosji zniknęły całkowicie, lub w znacznej części liczne gatunki zwierzyny. Wojna i czasy powojenne uprzątnęły z Rosji żubry. Wydra morska, dostarczycielka cennego futra, zwanego bobrem kamczackim, również wymarła. Cenne sobole spotykało się w 17-ym wieku jeszcze nader licznie w północnych gubernjach Rosji europejskiej;

powoli znikały z Europy, a teraz znikają także z Syberji.

Lis niebieski pozostaje już od roku 1883 pod szczególną ochroną, przez co dotąd jeszcze nie wymarł całkowicie.

Bóbr jest nawet na wschód od Uralu rzadkim okazem. Świstak stepowy poczyna zanikać w Rosji południowej.

Podobnież świat skrzydlaty Rosji liczy wiele gatunków, które są na wymarciu.

Po wojnie i rewolucji panował przez szereg lat chaos, z powodu którego zaginęły liczne wartości historyczne. W roku 1921 wyszedł dekret, biorący pod ochronę rzadkie zwierzęta, rośliny i zabytki przyrody. W roku 1924 wydano prawo łowieckie i przyrodnicze, w którem określono dokładnie czasy ochronne, sposoby dozwolonego polowania i rezerwaty.

— **Brak wody a zwierzyna.** — W Niemczech stwierdzono, podług tamtejszej prasy myśliwskiej, że w lutym 1929 roku najwięcej zwierzyny zdychało z powodu braku wody. Zdarzało się to szczególnie tam, gdzie dokarmiano zwierzynę suchą paszą (ziarnem, koniczyną, słomą, snopkami owsa) i gdzie jednocześnie nie było żerowiska w postaci krzaków jagodowych i roślin wrzosowych. Zwierzyna zaś wtedy z powodu tęgich mrozów nie mogła nigdzie znaleźć wody. Dokonywane obdukcje stwierdzały, że karma leżała w żołądku sklębiona z powodu braku wody.

Stanowi to dowód, że w czasie wielkich mrozów należy zwierzynie dać możność korzystania z jakiegokolwiek wodopoju. Wykonanie tego jednak natrafia na nieprzezwyciężone trudności.

Jest wszakże na to sposób bardzo prosty, aczkolwiek tylko pośredni. Należy wtedy karmić zwierzynę roślinami zawierającemi dużo wody wegetacyjnej. Do takich należą różne rzepy, kartofle, bulwa (topinambur), dzikie owoce, jarzębina, jarmuż, wilczeniec, bluszcz, barwinek, rzeżucha.

Roślin tych nie należy układać nadmiernie dużemi kupami na jednem miejscu, lecz małemi garściami na licznych miejscach. Zresztą także suchą paszę należy rozkładać w ten sposób, gdyż to odpowiada naturze zwierzyny, która wymaga ruchu wogóle, a tembardziej w czasie mrozu. Rozrzucanie karmy na wielu miejscach zapobiega też częściowo zbytniemu obżeraniu się zwierzyny, wywołującemu również choroby.

— **O konkursie „Łowca Polskiego“** na monografję łosia zawiadamia dr. W. Chr. czytelników niemieckiego tygodnika myśliwskiego „Wild und Hund" w numerze z dnia 6 grudnia. r. b.

— **Udział zagranicy w wystawie lipskiej.** — Na zebraniu w sprawie międzynarodowej wystawy łowieckiej i futer urządzonej przez „Ipa“ w Lipsku, stwierdzono, że dotychczas zapowiedziało swój udział w wystawie 20 państw, z Anglią, Francją, Kanadą i Austrją na czele. Rosja zamówiła 2.000 metrów kwadratowych. Będzie to pierwsza międzynarodowa wystawa łowiecka w Niemczech.

— **Policjanci kłusownikami.** — Na Litwie, w miejscowości Heydekrug, przed sądem stanęli dwaj policjanci, oskarżeni o zastrzelenie zająca. Sąd skazał każdego na grzywnę w wysokości 50 litów.



Z POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH.

DZIAŁ URZĘDOWY.

Wydział Wykonawczy zatwierdził w dalszym ciągu następujące kandydatury na delegatów powiatowych:

Witold hr. Broel-Plater, Boniewo, p. Osiecz, na pow. Włocławek,

Jan Kopnowski, Rawa Mazow.,

Bolesław Branecki, Wielka Wola, p. Rawa Mazow., obaj na pow. Rawa Mazowiecka,

Witold Skarzyński, Świeciny, p. Ostrowy Warsz., płk. Kozubski, Kutno, obaj na powiat Kutno,

Stefan Piłsudski, Warszawa, Jerozolimska 57, na pow. Warszawa,

Józef hr. Stadjon-Rzyszczewski, Dolsk, p. Maciejów Woł. na pow. Kowel,

Alfred Zaborowski, Lipie, p. Krzepice, na pow. Zawiercie,

Kazimierz Polaski, Myszków, na pow. Częstochowa.

mjr. dypl. Medard Cibicki, Chełmno, 8 P. S. K., na pow. Chełmno,

red. Witold Kraszewski, Nałęczów, na pow. Puławy,

Konrad Łoziński, Hołynka, p. Sieniawka, na pow. Nieśwież.

ppłk. Jerzy Wroczyński, Biała Podlaska, dtwo 34 p.p. na powiat Biała Podlaska.

Lista ogłoszona drugi raz.

Protokuł posiedzenia Wydziału Wykonawczego w dniu 8.XI. 1929 roku.

Obecni na posiedzeniu pp.: Stanisław Lilpop — przewodniczący, Wacław Szperling, mec. Walenty Garczyński, Bohdan Gędziorowski, inż. Kazimierz Tołłoczko, Władysław Słonczyński, Witold Kiltynowicz, Henryk Tietz, inż Herman Knothe, Kazimierz Kamieński i Jerzy Bokiewicz.

Wydział Wykonawczy zatwierdził protokuł posiedzenia swego w dniu 1.X r. b.

Postanowiono uprawnić Towarzystwa Związkowe do zwoływania miejscowych zebrań delegatów powiatowych, zastrzegając jednak, aby uchwały o charakterze ogólnym przedkładane były Wydziałowi Wykonawczemu jako wnioski i dezyderaty.

Wydział Wykonawczy dopiero po rozpatrzeniu tych wniosków przedsięweźmie odpowiednie kroki. Towarzystwa Związkowe bezpośrednio występować do władz nie mogą.

Zatwierdzono projekt medalu za zasługi położone dla łowiectwa. Regulamin przyznawania medali opracuje p. Gędziorowski i przedstawi na następnem posiedzeniu Wydziału.

P. inż. K. Tołłoczko zreferował sprawę wymierzania odszkodowań za szkody poczynione przez zwierzynę. Odszkodowania te wymierzane są w znacznej wysokości i często płacić je musi dzierżawca terenu sąsiadującego z terenami, w których zwierzyna ma swoją ostoję, tylko dlatego, że dzierżawca ów nie przebywa stale na swoim terenie; że ma uniemożliwioną wprost obronę przez oświadczenia sąsiednich właścicieli gruntów, którzy stwierdzają zazwyczaj, iż na ich terenach zwierzyna nie ma ostoi. Właściciele terenów dotkniętych szkodami, nie przedsiębiorą żadnych środków w celu zapobieżenia dostępowi szkodników, ponieważ bardziej opłaci się im wynagrodzenie pieniężne. Jako przykład niewspółmiernej wysokości kar, podaje p. Tołłoczko, że stratowanie 1 metra kartofli wynagradzać trzeba sumą zł. 7 gr. 20, podczas gdy cena rynkowa wynosi zł. 3. Sprawa odszkodowań jest bardzo ważna, ponieważ może spowodować kryzys finansowy wielu Towarzystw, niektóre z nich bowiem płacić muszą rocznie sumy sięgające tysięcy złotych. Postanowiono rozpisać ankietę w „Łowcu Polskim", aby Towarzystwa zainteresowane w tej sprawie, podawały do wiadomości Związku konkretne fakty, a więc wysokość wymierzonych kar i rodzaj szkód.

Dane te zużytkowaćby należało w projekcie nowelizacji ustawy o prawie łowieckiem. P. Szperling proponuje, aby w „Łowcu Polskim" zamieścić wezwanie, by w tej sprawie nadsyłano dokładne informacje co do rozmiaru szkód i wysokości wymierzanych wynagrodzeń, poczem otrzymane odpowiedzi ogłaszać w „Łowcu Polskim".

Rozpatrzono projekt konkursu podręcznika o roślinach, opracowany przez p. Knothego. Ponieważ p. Knothe zgłosił dwa równoległe wnioski w tej sprawie, rozpatrzono je kolejno. 1 wniosek przewidywał podział dzieła według gatunków zwierzyny z opisem nadających się do jej hodowli, roślin. Drugi zaś wniosek przewidywał podział książki według gatunków roślin. Przyjęto wniosek pierwszy.

Postanowiono wyznaczyć jako fundusz nagród zł. 900, przyczem podział nagród uzależnić od wartości i rozmiarów poszczególnych prac. Opracowanie warunków konkursu powierzono pp.: Knothemu, Gędziorowskiemu i Garczyńskiemu.

Na wniosek p. Szperlinga, postanowiono przesłać wdowie po ś. p. Feliksie Rożyńskim, pani Wandzie Rożyńskiej, złotych 500, tytułem honorarjum za rozpoczętą przez Zmarłego pracę o roślinach.

Postanowiono ponownie wystąpić do tych Dyrekcyj Lasów Państwowych, które dotąd jeszcze nie nadesłały schematów kontraktów dzierżawnych, o jakie Związek zwracał się do nich w przeszłym miesiącu.

Z TOW. ŁOW. WOJEW. WILEŃSKIEGO.

Na posiedzeniu zarządu Tow. Łow. Województwa Wileńskiego rozważano sprawę rozszerzenia działalności Tow. na sąsiednie województwa. Wyznaczono nagrody pieniężne za walkę z kłusownictwem policjantom: Stanisławowi Bańkowskiemu z powiatu święciańskiego, Wojciechowi Szewczykowi z pow. wil., gajowemu Janowi Wąsowiczowi, oraz policjantowi Michałowi Sieniawskiemu, który przyczynił się do wykrycia 3 kłusowników po zabiciu przez nich dn. 2 września r. b. łosia w puszczy Rudnickiej. Pozatem postanowiono zwrócić się do władz z prośbą o pouczenie policjantów o obowiązujących przepisach ustawy łowieckiej.

Z ODDZIAŁU KRAKOWSKIEGO MAŁ. TOW. ŁOW.

Na posiedzeniu Wydziału tej instytucji łowieckiej postanowiono obdzielić delegatów województwa krakowskiego regulaminami delegackimi Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich.

W rozesłanym do delegatów okólniku zarząd oddziału omówił sprawę rozszerzenia ochrony zajęcy i kozłów, oraz potrzebę zamknięcia polowania do końca lipca 1930 r. na dzikie kaczki, zwłaszcza krzyżówki.

Na posiedzeniu poruszono też sprawę dziedziczności kontraktu dzierżawy prawa polowania gminnych spółek łowieckich, oraz sprawy odszkodowań, rozpatrywane przez sąd rozjemczy.

Z MIĘDZYN. TOW. OCHRONY ŻUBRA.

Roczne zebranie Międzynarodowego Towarzystwa Ochrony Żubra — Oddział Polski odbędzie się w Poznaniu w salce Koła Towarzyskiego „Bazar" — ul. Nowa, dn. 5 stycznia 1930 r. o godz. 17-tej.

Porządek obrad: 1. Sprawozdanie z czynności Oddziału Polskiego M. T. O. Ż. i z obrad Kongresu odbytego w Poznaniu w dn. 1 — 3 września b. r. 2. Sprawozdanie kasowe. 3. Ustalenie stosunku naszego do zarządu M. T. O. Ż. we Frankfurcie. Objaśnienie: W Zarządzie nie zasiada dotąd żaden polak. Ponieważ Polska realizuje plan zaprowadzenia znów żubrów do Białowieży i posiada nadto najliczniejszy oddział, stawić należy wniosek o przyznanie Polsce dwóch miejsc w Centralnym Zarządzie. 4. Ułożenie planu hodowlanego dla żubrów znajdujących się w obrębie Rzeczypospolitej Polskiej. Objaśnienie: Zarząd Odddziału Polskiego uważa, iż jest jego zadaniem czuwanie nad właściwym sposobem i kierunkiem obecnej hodowli żubra w Polsce, należy mu się więc conajmniej czynność doradcza i opiekuńcza. 5. Wybór nowego zarządu, siedziby i organu Oddziału Polskiego. Objaśnienie: Według uchwały ostatniego Walnego Zebrania, wybór dotychczasowego zarządu nastąpił jedynie na rok 1929 z siedzibą w Poznaniu. 6. Wolne głosy.

Zarząd Oddziału Międzynarodowego Towarzystwa Ochrony Żubra.

WŁ. JANTA-POŁCZYŃSKI, prezes.

SZCZERKOWSKI, Sekretarz.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY.

W dobrach Leskich w Małopolsce zmarł ś. p. **Dmytro Bunio**, łowczy tych dóbr, urodzony w roku 1867. Był to myśliwy pierwszej klasy i wybitny hodowca, niestrudzony w ściganiu kłusowników.

W Krakowie zmarł ś. p. **Antoni Skopiński**, długoletni członek miejscowego Tow. Łow.

Czasy ochronne.

(Przypomnienie zmian w styczniu).

Dnia 1 stycznia: rozpoczyna się czas ochronny na **sarny-kozły** w województwach **poznańskiem i pomorskiem;**

rozpoczyna się czas ochronny na **zające** w województwach: **lubelskiem, pomorskiem i poznańskiem,** oraz w powiecie **łódzkim.**

Dnia 14 stycznia: ostatni dzień polowania na **zające**-szaraki w województwach: **warszawskiem, pomorskiem i poznańskiem,** gdyż

dnia 15 stycznia rozpoczyna się czas ochronny na **zające**-szaraki w powyższych trzech województwach.

Dnia 31 stycznia: ostatni dzień polowania na zające-bielaki w województwie wileńskiem;

ostatni dzień polowania na **zające**-szaraki w całem Państwie (o ile wcześniej nie rozpoczął się czas ochronny na zasadzie dodatkowego rozporządzenia).

Ostatni dzień polowania na sarny-**kozły** w całem Państwie (o ile wcześniej nie rozpoczął się czas ochronny na zasadzie dodatkowego rozporządzenia);

ostatni dzień polowania w całem Państwie na jarząbki, pardwy, bażanty-koguty, dzikie gołębie, drozdy, kwiczoły, paszkoty, ptaki krukowate i drapieżne z wyjątkiem jastrzębi-gołębiarzy, krogulców, wron i srok, na które polować wolno rok cały.

KRONIKA MYŚLIWSKA.

—o— W lasach p. Kiersnowskiej pod Smorgoniami urządzono dn. 20.X obławę na wilki z udziałem pp. prof. Hłaski, dra Potapowicza, inż. Kiełczewskiego, Pileckiego i Korzona. W 2 miotach padło 6 wilków.

—o— W Szumsku u p. Strumiły na kresach wschodnich na polowaniu dn. 24 listopada w 4 strzelby zabito jarząbka i 3 zające. Widziano zaś 20 zajęcy.

—o— W majętności Skąpe pod Gnieznem u pp. Rigallów odbyło się dn. 7 grudnia polowanie, w którem wzięło także udział kilku oficerów tutejszego garnizonu z dow. 69 pp., pułk. Kluczyńskim na czele. Na ogólną liczbę 19 strzelb padło 82 zające.

—o— W dniach 9 i 10 grudnia 1929 odbyło się u p. Stefana Dąbrowskiego w Jeziorkach pow. poznańskim polowanie, w którem brali udział margr. Aleksander Wielopolski, hr. Aleksander Skrzyński, hr. Stefan Tyszkiewicz, ks. Roman Czartoryski, hr. Paweł Potocki, p. Józef Dembiński, hr. Zygmunt Wielopolski i hr. Władysław Tarnowski. Na rozkładzie było 1007 sztuk, w czem 779 zajęcy, 149 bażantów, 79 królików.

— Dnia 26 listopada r. b. odbyło się w Olesznie p. Konrada Niemojewskiego, doroczne polowanie strejfami w 12 strzelb, na którem padło 496 sztuk zwierzyny (zajęcy 400, kuropatw 46, królików 50). Pomyślny ten rezultat zawdzięczać można zarówno energicznej opiece i hodowli zwierzyny, jak i zamiłowaniu właściciela, który wyniszczony niemal podczas wojny doszczętnie zwierzostan, tak zdołał poprawić. Polowanie prowadzone było przez samego właściciela i pod względem organizacji było pierwszorzędne. Opolowano tysiąc kilkaset morgów.

— Cz. — Dnia 30 listopada odbyło się polowanie w maj. Sobanice, pow. Płońskiego, własność p. Kazimierza Dziewanowskiego. Na przestrzeni 30 włók, przy udziale 10 myśliwych, zabito 80 zajęcy, 30 bażantów i lisa. Królem polowania został p. Stefan Mieczkowski z Dzierżanowa, mając na rozkładzie 12 zajęcy, 6 bażantów i wspólnego lisa. Stwierdzić trzeba, że wobec dopiero dwuletniej hodowli bażantów, stan ilościowy tychże bardzo jest duży, dzięki troskliwej opiece gospodarza i korzystnym warunkom terenowym.

Dnia 2 grudnia odbyło się polowanie w maj. Zeksyn, pow. Płockiego, własność p. Czesława Bejta. Na przestrzeni 40 włók, przy udziale 13 myśliwych, zabito 85 zajęcy. Królami polowania byli p. Józef Żychliński z Płomian i p. Stefan Mieczkowski z Dzierżanowa, mając na rozkładzie po 11 zajęcy. Gospodarz, mając odpowiedni teren, w czem upewnili go uczestnicy polowania, postanowił zaprowadzić hodowlę bażantów, którą to wiadomość myśliwi przyjęli z radością, życząc powodzenia zamiłowanemu myśliwemu-hodowcy.

Dnia 4 grudnia odbyło się polowanie w maj. Kucice p. J. Bolechowskiego, powiatu Płońskiego. Ogromna mgła do tego stopnia utrudniała polowanie, że zdecydowano przerwać, nie opolowawszy całości. Zabito więc tylko 75 zajęcy i 7 bażantów. Królem polowania został p. Paweł Niżniewski z Płocka, mając na rozkładzie 11 zajęcy i 1 bażanta. Hodowla bażantów jest dopiero od dwóch lat, mały więc odstrzał jest tłumaczony początkiem hodowli; zajęcy przy normalnym dniu mogło paść około 150 sztuk na przestrzeni 30 włók.

— G. — W majątku Zborów pow. Kaliskiego u p. Józefa Garczyńskiego, odbyło się w dniu 7 grudnia r. b. doroczne polowanie. Na przestrzeni około 30 włók zabito 125 zajęcy i dwa bażanty. Królem polowania był p. Zdzisław Tarnowski.

— M. — Dnia 2 grudnia odbyło się w Karsninie u p. Edwardostwa Morawskich, polowanie w ośm strzelb, na którem padło: zajęcy 178, bażantów 16, królików 14 i jeden kszyk; razem 209 sztuk. Dodać należy, że z powodu miękkiej pogody, dużo zwierzyny cofnęło się przez nagankę bez strzału.

— Na podmiejskiem polowaniu dnia 4 grudnia r. b. p. Fr. Nitschego, na terenie Kobylepole i Zegrze, zupełnie pod miastem Poznaniem, ubito w 12 strzelb i 200 naganki, 248 zajęcy. Widoczną poprawę w zwierzostanie należy zawdzięczyć odświeżeniu krwi i należytej ochronie.

— **Ogród zoologiczny w Katowicach** liczy obecnie 193 okazy, z których do zwierząt łownych należą: 2 jednoroczne lwice afrykańskie, 2 wilki rosyjskie, 7 lisów, 13 wiewiórek, 25 gołębi dzikich i swojskich, 3 bażanty, 2 puhacze, 2 kanie, 2 jastrzębie, 3 sokoły, 3 sroki, 5 kaczek z Afryki, 2 przepiórki, 2 jeleniebyki, 2 łanie, 2 sarny-kozły i 1 koza, 1 łabędź, 2 zające, 7 gęsi indyjskich, 7 dzikich kaczek, 1 mewa.

Wilki ofiarowali pp. por. Bydliński i apt. Gaertner; lisy — p. Habernoll i policja śląska z Siemianowic; puhacza — major Wojno; kanię — p. Kloske; jastrzębie — p. Wojciech Thalheim; sokoły — pp. Włodarczyk i inż. Witek; kaczki afrykańskie — pp. Zieliński, Jadwiga Brzeg, Kołodziejczyk i Arlett; przepiórki — p. Herman; jelenia — dr. Szolc; sarny— ks. Kulik z Suszca i p. Flieger; zające — dr. Brudek; dzikie kaczki — dr. Słonawski; mewę — p. Tomaszewski.

Oprócz tego ofiarowali: dyrekcja dóbr księcia Pszczyńskiego 400 zł. i 700 kubłów na rośliny, p. Czwiklitzer — akwarjum, pomniejsze ofiary złożyli: Związek restauratorów, cech piekarski, pp. Gruenfeld, Altmann, Robur, Flieger i Kujawski.

— **Z „zoologu" w Poznaniu.** — Właściciel ziemski, znany myśliwy, p. Jan Pętkowski z Kożuszkowa (p. Strzelno), podróżował ub. roku po Afryce wschodniej. Polując w stepie, znalazł przypadkowo w zaroślach parę maleńkich lwów, których matka odbywała podróż za żywnością. Towarzyszący p. Pętkowskiemu murzyn z radosnym okrzykiem „Simba" pochwycił oba 6-tygodniowe lwy-kociaki i odniósł je do mieszkania. Z wielkim trudem i mozołem oraz kosztami udało się p. Pętkowskiemu przywieźć lwy do Kożuszkowa-Woli. Tutaj pod troskliwą opieką p. Pętkowskich, bujając swobodnie po parku, wyrosły lwy-kociaki na potężne lwy-koty, aż w dniu 4 b. m. zawitały do „Zoologu" w Poznaniu. Lwy te, nie zaznawszy matki, a będące ustawicznie w otoczeniu ludzi, którzy się łagodnie z nimi obchodzili, zatraciły zupełnie swoją dzikość i krwiożerczość, i jak kotki domowe, chętnie się bawią ze swym dozorcą.

— **Odczyty o zwierzynie przez Radjo.** — Stacja Polskiego Radja w Warszawie nadała w bieżącym miesiącu dwa odczyty dra Stanisława Sumińskiego, poświęcone zwierzynie.

Tematem pierwszego odczytu były żubry. Prelegent podał na wstępie wiadomości o przebywaniu żubrów w Polsce. Dalej zaznaczył, że ogrodzenie tamże było konieczne ze względu na rozmnożenie się wilków, które zagrażały żubrom, i że dyr. Roszkowski zbadał okolicę tamtejszą i stwierdził, że niema tam zarazków motylicy, która jest jeszcze groźniejsza dla żubra, aniżeli wilki.

Drugi odczyt p. t. „Zwierzyna w Warszawie" stwierdził, że tuż pod Warszawą spotyka się lisy. Kuna przebywa na krańcach miasta w składach kolejowych, gdzie także się lęgnie. Tchórze — w starych podmurówkach Łazienek. Łasice — w parku Paderewskiego, skąd zakradają się do Ogrodu Zoologicznego na Pradze. Gronostaja można zobaczyć w Łazienkach. Wydra przebywa w porcie nad Wisłą i w Siekierkach. Jeż — w sadach podmiejskich. Wiewiórka — na Saskiej Kępie. Nietoperzy jest 8 gatunków między domami. Wreszcie zające zimą podchodzą do domów na przedmieściach.

— **Wykroczenia** — W Wilnie w restauracji „Bristol" podano w listopadzie na kolację — głuszca. Myśliwi zawiadomili o tem władze.

W temże mieście podano w pewnej instytucji do stołu zająca i kuropatwę w czasie ochrony tej zwierzyny.

— **Podwyższenie podatku od psów.** — Z inicjatywy władz nadzorczych magistrat w Poznaniu opracował projekt podwyższenia podatku od psów. Projekt przewiduje podwyższenie podatku tego o około 70 proc. Wolne od podatku pozostaną nadal tylko psy przeznaczone do pilnowania gospodarstwa.

— **Obława na kłusowników.** — W lasach raszkowskich i konarzewskich pod Krotoszynem w Wielkopolsce urządzono obławę na kłusowników. W czasie obławy pochwycono 2 kłusowników z bronią w ręku. Jeden z nich stawił czynny opór w drodze do komisarjatu, w tym czasie drugi zbiegł. Za zbiegiem puścił się w pogoń prakt. leśny Witold Gawolski, który poślizgnąwszy się, strzelił nieumyślnie. Padł strzał, a kula przeszyła skroń kłusownikowi Józefowi Szymanowskiemu, który tego samego dnia zmarł.

— **Proces o lisa z polowania.** — Nadleśnictwo „Olsztyn" dorocznym zwyczajem urządziło polowanie w okresie świąt Bożego Narodzenia 1928 r.

Zwierzyny różnego rodzaju upolowano sporo, ale nie można się było jej doliczyć. Niesumienni naganiacze przywłaszczyli sobie część upolowanej zwierzyny. Jeden z nich, Izydor Tomalski, wybrał sobie lisa. Pobiegł on za zwierzęciem postrzelonem, początkowo go ukrył w zaroślach, a po zakończonem polowaniu przywłaszczył go sobie i zrobił kołnierz. Wszystko to jednak się wydało i musiał się tłumaczyć przed sądem jako oskarżony o kradzież. Obrońca oskarżonego wywodził, że zwierzyna postrzelona nie jest jeszcze w niczyjem posiadaniu, dopóki żyje i ucieka. Ponieważ w sprawie nie udowodniono, że lis był wyhodowany dla celów polowania, więc, jako należący do kategorji przedmiotów, powstających i rozwijających się bez pomocy człowieka, nie mógł być przedmiotem kradzieży i wobec tego Tomalski może być skazany jedynie za samowolne polowanie na cudzym gruncie. Kara za kradzież jest bardziej surowa, bo przewidziane jest nawet więzienie. Sądy jednak z taką kwalifikacją czynu się nie zgodziły i orzekły, że jest zwykłym złodziejem (art. 581 kod. karn.), a nie myśliwym. Sprawa, wobec skargi kasacyjnej doszła do sądu najwyższego, który wyjaśnił, że w myśl art. 623 i prawa łowieckiego przez samowolne polowanie (łowienie) na cudzym terenie należy rozumieć przywłaszczenie żywej zwierzyny, a nie przez kogo innego zabitej.

— **W pętlach na lisy.** — Dwaj robotnicy: Ludomir Zyskowski i Wacław Ruczyński, przechodząc przez las Solistowski na terenie gminy Bargłów w powiecie Augustowskim, zauważyli norę, a przy niej zawieszoną pętlę. Zyskowski pociągnął za pętlę. Nastąpił wybuch, który poszarpał obydwom ręce. Oka-

zało się, że pętla była swojego rodzaju pułapką na lisa, skonstruowaną w ten sposób, iż z pomocą drutu miała połączenie z cynglem karabinu bez osady, nabitego prochem. Z chwilą szarpnięcia pętlą, następował wybuch. Śledztwo policyjne wykazało, iż kłusownikiem, który tę pętlę zastawił, był kłusownik ze wsi Kąsinówka, którego też pociągnięto do odpowiedzialności sądowej.

— **Nowa wyprawa polska do Afryki.** — O wyprawie przez ląd afrykański od Przylądka Dobrej Nadziei do morza Śródziemnego, zorganizowanej przez profesorów dr. Walerego Goetla i dr. Jerzego Lotha z Warszawy, dochodzą następujące informacje. Uczeni polscy przebyli ląd afrykański wzdłuż, podążając od Przylądka Dobrej Nadziei koło Kapsztadu na północ. Prof. Goetel i Loth brali udział w międzynarodowym kongresie geologów, który się odbył w Pretorji, poczem podążyli na północ do Rodezji. Z kolei zatrzymali się w Broken Hill w północnej Rodezji, gdzie odwiedzili jedyną w Afryce polską misję katolicką, na czele której stoi ksiądz Siemieński, podziwiając ład i wzorowy porządek, jakim ta misja się odznacza. Prowincja Katanga w Kongo belgijskiem, z jego stolicą Elisabethville i bogatemi kopalniami miedzi, rzeki Lualaba i Kongo, oraz jezioro Tanganika były następnymi etapami wyprawy. Poprzez Tanganikę, dawną wschodnią Afrykę niemiecką, podążono do jeziora Wiktorja Njanza, poczem podróżnicy skierowali się do stóp Kilimandżaro, najwyższej góry w Afryce (6010 m.), udając się stamtąd przez słynny rezerwat zwierzyny Kenji, do stolicy tej kolonji, miasta Nairobi. Przez Ugandę podążono następnie do źródeł Nilu oraz do gór Księżycowych — Ruwenzori, a potem przez jezioro Alberta do Rejafu, gdzie się rozpoczyna żegluga na Nilu. Przez Chartum i Assuan osiągnięto po przeszło czteromiesięcznej podróży Kair i Aleksandrję, stąd przez Ateny, Saloniki, Białogród powrócono do kraju z bogatym zbiorem zdjęć i okazów.

Prenumerata na rok 1930.

Do poprzedniego numeru załączyliśmy dla każdego P. Prenumeratora po dwa przekazy P. K. O. Nr. 80—82, z uprzejmą prośbą o nadesłanie prenumeraty na rok 1930, oraz o łaskawe wręczenie drugiego przekazu znajomym myśliwym w celu zjednania nowych czytelników.

* *

W interesie PP. Prenumeratorów leży odnowienie prenumeraty przed Nowym Rokiem, gdyż potem może zabraknąć numerów styczniowych.

ADM. „ŁOWCA POLSKIEGO“.

Redakcja nie zwraca nadesłanych rękopisów i zastrzega sobie swobodę czynienia z nich poprawek i skrótów.
Redakcja nie odpowiada na zapytania, kiedy będzie drukowany artykuł, gdyż zależy to od całokształtu numeru i od posiadanego przez Redakcję materjału. — Redaktorzy przyjmują w poniedziałki od godziny 5½ do 6½ wieczorem.

Redaktorzy: Juljan Ejsmond i Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Stow. Łowieckich.

Nie urodzi jastrząb gołębia.
Jastrząb puhacza nie wyleże.
Rzadko ten jastrząb kuropatwę schwyci, który się za całem stadem ugania.
Chartem, jastrzębiem przyjaźń jednają.

Inż. L[illegible] S[illegible]

TECH[illegible]NY

TOWARZYSTWA KREDYTOWEGO ZIEMSKIEGO

Warszawa, Okólnik 9 m. 13, tel. 39-36.

Na dogodnych warunkach wykonywa wszelkie roboty wchodzące w zakres leśnictwa, jako: Urządzenia lasów, rewizje planów, stałe lub jednorazowe inspekcje, ocenę poręb i całych drzewostanów na sprzedaż przy kupnie oraz działach rodzinnych, kontrolę i zaprowadzenie książkowości leśnej, oraz zakłada remizy dla zwierzyny i t. p.



ŻYWE ZAJĄCE,

bażanty i kuropatwy sprzedaje Małopolska Hodowla Zwierzyny w Łukawicy p. Stryj

NADLEŚNICTWO KSIĄŻĘCE BASZKÓW

pow. Krotoszyn Wlkp.

sprzeda bażanty srebrne 2 i 3 letnie para 150 zł., młode 1 roczne para 50 zł. Ceny bez opakowania loko stacja kol. Zduny.

Ze wspomnień afrykańskiego myśliwego.

— Więc pan widziałeś ludożerców, rozmawiałeś z nimi? To okropne! Ale zjeść pana nie chcieli?

— Nie, proszę pani!... Byłem tylko raz jeden umieszczony w „menu", ale w ostatniej chwili wykreślono mnie.

FUTER

wyprawę i farbowanie surowych oraz odświeżanie używanych w pojedyńczych sztukach i małych ilościach uskutecznia fachowo, solidnie i szybko specjalny dział drobnicowy firmy

ZAKŁADY WYPRAWIANIA I FARBOWANIA FUTER „TASMANIA" Sp. z ogr. odp.

WARSZAWA, Aleja 3-go Maja 22/24.

Cenniki wysyłamy na żądanie natychmiast.



Posyłajcie eksponaty i odwiedzajcie

Międzynarodową Wystawę Łowiecką w Lipsku 1930

(Internationale Jagdausstellung Leipzig 1930)

(koniec maja do września)

w ramach

Międzynarodowej Wystawy Futer I P A

(IPA Internationale Pelzfachausstellung).

Bliższe informacje otrzymacie w Waszym Związku Łowieckim oraz w biurze **IPA Abt. Jagd, Leipzig C.1, Brühl 70.** (Niemcy).



Nowy wynalazek PŁASKI ZEGAREK! Tylko zł. 8.75 dawn. 26.—. Wysyłamy pocztą za zaliczeniem, elegancki zegarek niklowy. Chód dźwięczny, na kamieniach. Wyregulowany do minuty, z gwarancją na dobry chód na 8 lat. **Lepszego gatunku** 11.50, 15, 21, 25, 30, 40, 50 i 60 zł. Na rękę z paskiem 17, 20, 23, 25, 30, 3 , 45, 50, 65; 76. **Z francuskiego nowego złota** 15.60 2 szt. 30, 3 szt. 44 zł., lepszego gatunku: 25, 30, 40, 50 i 65 zł. **Budziki stołowe** 15, 17 i 20 zł. Łańcuszki z nowego złota po zł. 2.50, 3.50, 4.75 i 6.50. — Za koszta przesyłki płaci kupujący. Adres: **Skład zegar. JÓZEF JANIBOWICZ, Warszawa, Sienna 27, Oddz. 43.** Firma egzystuje od r. 1900. Nagrodzona wieloma złotemi medalami i krzyżami. Mnóstwo listów dziękczynnych. Z braku miejsca zamieszczamy niektóre:

(Nr. 1950). Zegarek otrzymałem, bardzo dziękuję, chodzi on co do minuty i bardzo miły dla oka. Ku mojemu miłemu zdziwieniu chodzi lepiej od „Omegi", który robi różnicę naprzód, albo wtył. Zegarek od Pana nie robi żadnej różnicy, tak dał się dokładnie wyregulować, proszę przysłać mi jeszcze dwa zegarki płaskie. Po otrzymaniu, zrobię zamówienie na większą ilość. **Jan Kałożyński, Lublin.**

(Nr. 1955). Sz. P. Proszę o wysłanie jeszcze jednego zegarka z fr. nowego złota. Przy tej sposobności mamy zaszczyt podziękować za otrzymane 3 zegarki, z których jesteśmy zadowoleni. W najbliższych dniach wyślę zamówienie na kilka zegarków.

Prezes, Stan. Borowicz w Kutnie.

Zarząd lasów

dóbr Sterdyń, poczta Sterdyń, Ziemi Siedleckiej, ma do sprzedania kilkanaście tysięcy kilogramów żołędzi (Quercus pedunculata).

I czapla czasem jastrzębia zwycięży.
Gnębi, jak jastrząb młode gołębie.
Biada tej kokoszy, na której jastrzębia zaprawiają.
Pająk dusi muchę, pająka wróbel, wróbla jastrząb, jastrzębia sęp, a sępa orzeł.



SKŁAD BRONI „J. SOSNOWSKI"

właść. CZ. LISOWSKI

Warszawa, Ossolińskich 1. Tel. 47-47. Adres telegr. SOSLIS.

Wyłączne przedstawicielstwa oraz sprzedaż wszechświatowej sławy strzelb myśliwskich:

G. DEFOURNY SEVRIN, Liège	VERNEY CARRON et Cie, Paris
A. FORGERON "	VICKERS Ltd., London
A. FRANCOTTE "	J. NOWOTNY, Praha
LEPAGE "	

SZTUCERY i TRÓJLUFKI

wykonane z zastosowaniem ostatnich wymagań techniki.

Warsztaty reperacyjne. Oferty i cenniki bezpłatne. Ceny i warunki najprzystępniejsze.

Las bez zwierzyny to jak panna bez uroku.

Przyjmę od 1. IV. 30 r. stałą posadę łowczego w administracji leśnej lub Tow. Łowieckiem z równoczesnem prowadzeniem agend **leśniczego rew.** lub **zarządcy lasów.** Egzamin państw., I-a referencje. Łaskawe oferty pod „Św. Hubert". **Czarny las, pow. Odolanów** wojew. Poznańskie.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warecka 15.